



PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 zlr. półrocznie 6 zlr.
kwartalnie 3 zlr.

PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 zlr.
półrocznie 7 zlr. kwartalnie 3 zlr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.

Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.

Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.

Biuro redakcji przy ulicy Halickiej 1. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.

PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.

NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 sgr. kwartalnie 2 tal. 10 sg

LUŻNE UWAGI.

XXXIII.

o POTRZEBIE ZJAZDU DZIENNIKARZY GALICYJSKICH.

Nie od dziś skarży się Galicja, że nie posiada takich dzienników, jakich by pragnęła. A jakich pragnie? Ona sama nie wie. Wprawdzie twierdzi, że chce poważnych, lecz gdy poważne powstaną, zabija je obojętnością, mówiąc: nudne! Jakie społeczeństwo, takie dziennikarstwo; Galicja zatem nie ma najmniejszego prawa utrzymywać, że dziennikarstwo dzisiejsze nie jest wiernym wyrazem jej przekonań i dążeń. Powiemy nawet więcej. Galicja ma lepsze dziennikarstwo, niż na to zasługuje. Jakich bowiem pism może domagać się prowincja pięciomiljonowa, w której na stu umiających czytać i pisać, znajduje się zaledwie jeden, który dziennik trzyma? Bez podstawy materialnej nie ma rozwoju i cywilizacji — a dziennikarstwu galicyjskiemu materialnej podstawy brak zupełny. Cyframi, zimnymi cyframi moglibyśmy udowodnić, że każde pismo utrzymuje się u nas ofiarnością osób prywatnych, gdyż brak także stronnictw, poczuwających się do obowiązku popierania tych dzienników, które są wyrazem ich przekonań i bronią ich interesów. W Galicji nawet stronnictwa lubią wyciągać kasztany palcami osób pojedynczych. To są fakta, którym nikt nie zaprzeczy.

Z tego cośmy wyżej powiedzieli, nie wpływa jednak, aby dziennikarze sami nie mieli myśleć o ulepszeniu pism swoich. Sprawiedliwość każe nam nawet przyznać, że o tem myśla. W ostatnich latach, każdy dziennik rozszerzył swoje łamy, każdy polepszył redakcję — a nawet, co najważniejsze, we wszystkich zapanował ton przyzwoitszy, chociaż jak u nas mało popularny. I uczynili to dziennikarze sami, na własne ryzyko, dokładając pracę, a nawet kieszenia, gdyż cyframi moglibyśmy znowu udowodnić, że w ubiegłym pięcioleciu wszystkim pismom razem wziętym nie przybyło *tysiąc* nowych abonentów, którzy ani w połowie nie pokrywają kosztów, poczynionych na ulepszenia. Smutna ta obojętność

nie powinna odstraszać tych pionierów cywilizacji w nieletnim naszym społeczeństwie, którzy mimo wad swoich zrobili już wiele dobrego wyrabiając gnuśne masy.

W Galicji dziennikarstwo ma wielkie zadanie do spełnienia. W prowincji, w której brak uorganizowanych stronnictw; w prowincji, którą nie kieruje żadna myśl przewodnia; w prowincji, która nawet nie ma kilku prawdziwie wybitnych osobistości — w takiej prowincji największe zadanie spełnia dziennikarstwo. I niech szlachcie woła na jarmarku, że nie sobie z tego nie robi, co piszą gryziopiórki; niech mieszczanin z politowaniem patrzy na dziennikarza, który nie ma ani handlu ani kamienicy; niech adwokaci i lekarze wtedy tylko szanują dzienniki, gdy im one mogą zrobić korzystną reklamę; niech wreszcie nasi mężowie stanu utrzymują, że działają sami, nie zważając na głosy dziennikarstwa — my powiemy, że i ten szlachcie i ten mieszczanin, i ten adwokat, i ten lekarz i ten mąż stanu uczyni zawsze to tylko, co mu każe uczynić pismo, które codzień czyta. I nie może być inaczej. Jeżeli w krajach prawdziwie cywilizowanych, dziennikarstwo porusza masy, toż miałoby ono nie wywierać wpływu u nas, gdzie ogół nie nauczyciela, ale nianki jeszcze potrzebuje? Ono też wywiera, i dobry dziennikarz czuje, jaki ton wyda każdy klawisz, w który uderzy...]

Wiedząc, jakie znaczenie ma u nas dziennikarstwo, chcielibyśmy, aby w braku prawdziwych przewodzców w kraju, wszyscy nasi publicyści porozumiewali się wzajemnie co do dróg w kwestjach zasadniczych, które zgodnie postępować powinni. Między pojedynczymi pismami są różnice, które zostać muszą; ale w wyjątkowym naszym położeniu jest bardzo, bardzo wiele spraw, w obronie których wszystkie pisma jednomyślnie stanąć powinny. Gdy do boju nas wołają, idziemy wszyscy: konserwatyści i liberalni. Jeżeli dziś, w walce spokojnej, narzuciliśmy się krajowi jako pierwsi jego żołnierze — występujmyż zgodnie zawsze, gdy idzie o obronę praw tego kraju.

Po śmierci Agenora hr. Gołuchowskiego,

w obec niebezpieczeństwa jakie grozi naszej Radzie szkolnej, wprzedeń wyborów, porozumienie się dziennikarstwa galicyjskiego uważamy za konieczne. Może nie było jeszcze chwili, w którejby ono było tak niezbędne, jak właśnie dziś.

Takie porozumienie w sprawach zasadniczych, może przyjść do skutku tylko na ogólnym zjeździe dziennikarzy galicyjskich, który jak najprędzej powinien nastąpić.

TRUCIZNA.

Powieść

PAULINY z L. WILKOŃSKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Jednego wieczoru państwo Trzebiewscy poszli znowu do teatru; była to rozrywka jedyna. Klara spojrzała na próżną łóżę naprzeciw, i o mało że nie westchnęła.

W tem dostrzegła opodał młodą kobietę i poznała w niej dawną przyjaciółkę z lat panińskich, córkę sąsiadów rodziców, którą przed kilku laty pan Ignacy Porębski, jako małżonek, w inną uwiózł okolicę. Udała się z Lucjanem zaraz do jej łóży i powitała ją serdecznie.

— Zapewne niedawno przyjechałaś, Wandeczko?

— Jadę z mężem do ciotki.

— Mąż twój jest tu?

— Wyszedł po afisz.

W tej chwili wrócił pan Ignacy i poznali się panowie. Klara i Wanda postanowiły w jednej pozostać łóży. A po przedstawieniu udały się oba małżeństwa do państwa Trzebiewskich na herbatę.

Wanda opowiedziała przyjaciółce, że ma córeczkę siedmioletnią, która już uczy się przy bonie, i synka dwuletniego. Dzieci w drogę wziąć z sobą nie mogła i bardzo

teskni za niemi. Obiedwie miały sobie wiele do powiedzenia, zatem pani Wanda przyrzekła, że jutro z rana przyjdzie do kochanej Klarci na kilka godzin, bo zamierzili południowym odjechać pociągiem.

Przyszła też jeszcze przed dziewiątą, a Klara już czekała na nią. Zasiadły w sypialni, i jeneralna, różnych różności nastąpiła spowiedź. Obiedwie były szczęśliwe, obiedwie dobrych miały mężów, którzy je kochali i których one kochały.

— A jakże czas swój przepędzasz? — zapytała nagle Klara.

— Wiesz, że mam go zawsze za mało — odrzekła Wanda.

— Za mało? A ja mam go za wiele i nudzę się!

— Nie nudziłam się i nie nudzę nigdy, chciej mi wierzyć.

Klara westchnęła.

— Opowiem ci wszystko po szczególe, ile że lubię pogadać o moich zajęciach — wymówiła Wanda. — Z rana, po śniadaniu z dziećmi, bo mąż mój śniada wcześniej, konferuję z kucharką, z gospodynią, i wydaję objad. Potem ubieram się. Rozporządzam panny służącej robotą i rozpatruję się po domu. W lecie idę do ogrodu i radzę z ogrodnikiem, bo zawsze jest coś do obmyślenia. Tymczasem mąż wraca od gospodarki na drugie śniadanie. Ja siadam z robotą, Ignas przeczyta mi czasem coś z gazety a Janus przy tem bawi się na dywanie, a Leonka uczy się u bony. Następuje objad. Po objedzie gram na fortepianie, mąż słucha; Leonka bawi się lalką, a Janus tańczy. Potem Ignas idzie na drzemkę, Janusia spać kładę, a Leonka idzie znowu do bony. W tym czasie czytam i to godzin kilka. Po kawie siedzimy na werandzie. Ja z robotą, bo na tej nigdy nie zbywa; są dzieci do oszywania, a wreszcie i stroiki fabrykuję dla siebie sama. — Uśmiechnęła się. — Potem idziemy na przechadzkę. Czasem, gdy konie niezajęte, Ignas każe zaprządz i przejeździemy się w pole, albo do lasu. Za powrotem reszta dnia spłynie, a nie wiem jak!

— Ależ, Wandeczko, w czasie słotnej jesieni i w zimie! Te długie wieczory! To i cóż poczynasz?

— Gram na fortepianie, bo mąż słuchać lubi. Potem czyta mi głośno, gdy wiąże siatkę, lub szyje; albo też ja czytam, gdy on pali cygaro. Zawita kto z sąsiedztwa, i pogramy w preferansa. Wreszcie bawią nas dzieci. Tak więc i długie wieczory przyjemnie mijają.

Klara skłoniła czoło; obraz domowych zajęć, jaki skreśliła jej Wanda, nie był bez powabu, ale... nie to wszakże, o czem ona marzyć lubiła.

— A jakież jest sąsiedztwo wasze? — zapytała po chwili.

— Mamy domów kilka, z którymi żyjemy bliżej.

— Czy ludzie z wykształceniem?

— Owszem. Jest pan Grzywiński wyżej inteligencji obywatel; ksiądz jeden, mąż prawdziwej nauki. Wreszcie są ludzie przyjemni, zacni, rozsądni, bez pretensji do nauki wielkiej, ale rozumni; kobiety poczciwe, uprzejme, miłe; wzorowe matki i gospodynie. Radzi do naszych jeździmy sąsiadów,

i radzi witamy ich u siebie. Nie trzeba tylko rządzić się wymaganiami jakimiś, nie pragnąć stolicy na wsi, to i wszędzie towarzyskie znajdzie się kółko. Biermy zawsze co Bóg daje.

— U nas w Sosnowie zupełny brak sąsiedztwa i życia towarzyskiego — wtrąciła Klara posępnie,

— Powinnaś stworzyć je sobie; wszędzie są ludzie!

— Czytam wiele.

— Widzę, że i tutaj — pani Wanda podjęła kilka książek ze stołu i przeczytała tytuły. — I ja czytuję wiele.

— Po francusku?

— Niekiedy, bo nie chcę zaniedbywać się w niczem. Ale przerzucam w powieściach francuskich jak w ulegawkach. Wyobraź sobie: przywieźli mi kiedyś z księgarni Flaubert'a Madame Bovary. Czytam. Rzecz wybornie napisana, drobiazgowo, analitycznie; charaktery oddane jak gdyby autor kreacjom swoim na dno duszy zajrzał. Ale... potem... przyszło do tego, że książkę ze wstrętem aż do drugiego rzuciła pokoju. Właśnie nadchodził Ignas i zdumiony zapytał: — „Co robisz, Wando?” — „Rzuciłam ją moralny z obrzydzeniem” — odrzekłam. Ignacy się zaśmiał, książkę podniósł i nazajutrz księgarzowi odesłał. Montepin'a, Feydeau, Flaubert'a Dumas syna, e tutti quanti, nawet ich do ręki nie wezmę.

Klara była rada, że jakiś tam romans z tej szkoły, gdzie znowu do aresztu skazała.

— Przeczytałam Balzac'a z przyjemnością wielką — wymówiła, jakby stchórzyła trochę

— Znakomity to pisarz! I ja czytywałam go z zapalem. Lecz nieumyślnie, a raczej może wbrew tendencji własnej, wiele narobił złego: maluje on drogi występku ponętnie, ułudnie, a to zajmuje, porywa i umysł obalamuca. W końcu wprowadzie sumiennie przedstawia następstwa złego, smutne i nieszczęsne, jakby dla przestrogi i nauki, ale nieogłędne czytelniczki, zainteresowane są więcej ułudnemi manowcami, niżeli wynikami nieszczęśliwemi zbłąkania, szalu i występku. I ztąd romanse Balzac'a stały się niebezpiecznymi dla młodych kobiet.

Około godziny jedenastej przybył pan Ignacy po żonę. Z nim i Lucjan, bo gdzieś razem chodzili. Przyjaciółki musiały się pożegnać, gdyż pociąg nie czekał.

— Do widzenia!

— Do zobaczenia! — uściśniły się szczerze.

Po odjeździe Wandy, Klara na chwilę zamarzyła jeszcze o tem, co jej przyjaciółka opowiedziała: że ona nie nudziła się nigdy... Pokręciła głową. Potem usiadła przy fortepianie i grać zaczęła — ale nikt nie słuchał. To i po cóż grać miała? Powstała, rzuciła się na kanapę i podumała... o Madame Bovary. Ciekawą była tej książki, właśnie dla tego, że ją Wanda potępiała. Ale jak ją dostać? Jak jej zażądać w księgarni? Madame Bovary intrygowała ją niezmiernie. Biedna! Czyliż zły duch ją kusił? To jak gdyby żywiła chętkę pochycenia ognia, zaskoczenia z wieży, rzucenia się w topiel! —

A to wszystko jedynie... z nudów. Nie wiedziała, jak czas zapłacić...

O święta praco, ty dajesz pogodę, zadowolenie z samego siebie — i zbawiasz!

VII.

Pan Albert Złotowiecki powrócił, i znowu zjawił się u Trzebiewskich, przyjęty uprzejmie a nawet z radością. Przychodził wieczorem. Klara mu grała i lubił ją słuchać; on śpiewał umiejętnie wcale dźwięcznym barytonem różne ładne piosenki, lekceważąc przy tem swój talent, co większego jeszcze dodawało mu powabu. W teatrze zawsze odwiedzał ich w łoży. Niekiedy Lucjan, gdy spotkał go na ulicy, podając mu rękę, prosił:

— Jeżeli nie masz nic lepszego do czynienia, to wstąp do mojej żony; biedaczka nudzi się sama. Za godzinę będę w domu.

I powolny a grzeczny pan Albert skwapliwie do pani Klary pospieszał.

Dnia jednego przyszedł pod wieczór i przyniósł jej kilka świeżych literackich utworów. Lucjan w domu nie zastał. Zawiązała się ożywiona rozmowa, bo pan Złotowiecki szczególnie pod tym względem, miał wprawę. Zwolna jednakże w zamyślenie wpadał, z którego jednak zaraz się wyrывał, jak gdyby je pragnął kryć. Lecz mimowolnie, niemal mimowiednie, podległ mu znowu niebawem; Paweł wniósł lampę. Pan Albert spuścił na dłoń czoło i widocznie posmutniał. Gdy Klara odwróciła się i przy stole usiadła podniósł nagle głowę, jak gdyby otrząsł się z czegoś, co go tłoczyło, i coś tam z wymuszonym ożywieniem zagadał. Potem powstał, Klara spojrzała znacząco, bo nie chciała, ażeby odszedł. Może to nawet z jej wzroku wyczytał, gdyż spotkały się ich oczy. Kawaler westchnął zlekka.

— Kiedyż pan zamierzasz do Warszawy wyjechać? — zapytała, ile że przed trzema dniami o tym wyjeździe był wspomniał.

— Kiedy?... do Warszawy? — wymówił przeciągle i przystanął. — Nie wiem pani — potarł ręką czoło — jakoś dobrze mi tutaj, że i w Warszawie tak nie będzie — dodał ciszej.

Klary serce zadrgnęło; to jakby w romansie — boć jemu przy niej dobrze było!... Nie wiedziała, co mówić dalej. Albert przeszedł się, a potem usiadł opodał. Milczeli przez chwilę oboje.

— Nie przypuszczałem nigdy, by W... tyle mnie przyciągać potrafił — zagadał — dziś tutaj wszystko przedstawia mi się wdzięczniej...

Drzwi w przedpokoju stuknęły. Lucjan wszedł do salonu. Po raz pierwszy byłaby Klara wołała, gdyby się był spóźnił nieco; intrygowało ją, coby też pan Albert powiedział więcej.

Na widok pana domu, Złotowiecki ożywił się nagle. Lucjan mu był rad bardzo. Potem chciał odejść, lecz gospodarz zatrzymał go na herbatę. Po chwili gość prosił, by pani Klara na fortepianie zagrała.

— Zagraj, Klarciu, zagraj! — zachęcał ją małżonek. — Pan Złotowiecki lubi twoją muzykę. A wszakże i on będzie miał obojętną zaśpiewania nam parę ze swoich pięknych piosenek.

— Chętniebym temu zadość uczynił, — wtrącił kawaler — ale dziś nie jestem przy głosie i jakoś nie mam usposobienia.

— Znajdzie się to! Zagraj tylko, aniołeczku, coś takiego, co pan Albert lubi.

Złotowiecki podał jej rękę i zaprowadził do pianina. Usiadła. Pomyślała chwilę i zagrała jakąś kompozycję na motywa z Marty. Poczem Albert śpiewał. A był przy głosie i usposobienie się znalazło.

W ciągu wieczoru przypomniał sobie, że ma tomik ślicznych poezyj, które przynieść zapomniał.

— Dostawię je pani jutro w południe — dodał uprzejmie.

— Dziękuję! — Klara skinęła mu wdzięcznie.

Po herbacie Albert z Dziennika głośno jakąś przeczytał poezję; tkliwą, pełną poetyckiego polotu — a ślicznie czytał, że aż chwytai za duszę. Późno już było, gdy się pożegnał po wieczorku nader mile spędzonym.

Nazajutrz czekała go Klara około południa. Ubrała się nader ładnie, z wielkim gustem, a niby niewyszukanie, i raz po raz przed zwierciadłem stawiała. Nawet czytać nie mogła, tak często oknem wyzierała... Dochodziła pierwsza — czekała jeszcze na próżno i skwasiała się. Podjęła książkę, by czytać, ale myśli odbiegały. Powstała i znowu przed zwierciadłem stanęła. Posłyszała w przedpokoju stuknięcie, i rzuciła się na najbliższy fotel. Wszedł Paweł z listem.

— Od kogo? — zapytała.

— Od pana Złotowieckiego. Lokaj czeka na odpowiedź.

Klara zapłonęła i uderzyło jej serce. Otworzyła wonny, elegancki, pełen chic'u liścik; zapytywał ją w nader grzecznych wyrazach: Czy zna *Revue des deux mondes* z ubiegłego roku, bo właśnie pisze do swojego rządcy i kazałby wszystkie przywieźć zeszyty. Prosił o słówko odpowiedzi. Zapłonięta, mile pomieszana, przy sekretarce usiadła. Wybrała ładny arkuszyk i kopertę, doskonale piórko, i napisała:

„Nie znam *Revue des deux mondes* z ubiegłego roku i będę zań wdzięczna. Dziś będziemy w teatrze.

K. T.“

Zadzwoiła i liścik oddała. Przeczytała raz wtóry pismo Alberta, przyjrzała mu się przy oknie, a potem do sekretarzyka schowała. Usiadła przy pianinie i zagrała, bo czytać nie mogła. Lecz powstała zaraz znowu i wzburzona przebiegała salon. Po chwili Lucjan nadszedł.

— A cóż tam, żonko moja? — zapytał, obejmując ją — wyglądasz jak różyczka.

Klara przytuliła głowę do jego ramienia. Jakoś dziwnie jej było, że sama tego zrozumieć nie mogła i nie zastanawiała się nad niczem. Było to coś... jakby wyrzut wewnętrzny... Kochała męża, ale przytem, mimowiednie, igrała z uczuciem i śliznęła nieogłędnie po pochyłości nagłej, która najczęściej niepowstrzymanie do przepaści wiedzie.

Wieczorem byli w teatrze. Albert przyszedł do ich łoży. Przeprósł, że znowu o zapowiedzianych poezjach zapomniał, lecz jutro przyniesie je z pewnością.

— Miałem wysyłkę do domu — tłumaczył się — korespondencje, rozporządzenia różne, które mi dużo czasu zajęły.

O liście swoim i odpowiedzi Klary nie wspominał słówkiem jednym. I ona o tem przemilczała. Była to przecie rzecz nic nieznająca.

W jednej z łoż naprzeciw siedział pan Kalikst... i lornetował wszystkie łoża. Najdłużej jednak łoż państwa Trzebiewskich.

— Pan Kalikst zjawił się znowu — zauważył Lucjan.

— Ma zapewne nowe zamysły i *in petto* przed wyjazdem jeszcze do Monacco — odrzekł Albert.

— Więc tam często przebywa?

— Jako jeden z pierwszych szermierzy, a podobno i agentów?

— Czy z nim przestajesz?

— Uchowaj! Dałem uczuć mu wyraźnie, że nie chcę znajomości jego. Mam też z niego wroga, lecz mnie to wcale nie obchodzi.

Po chwili Złotowiecki do swojej wrócił łoży.

Po przedstawieniu, wychodząc z teatru Lucjan zaprosił Alberta na herbatę. Wieczór był piękny, jasny, powietrze łagodne; przyszli więc pieszo i pieszo wracali.

— Proszę cię, panie Albercie — odezwał się Lucjan, gdy w pierwszą skreślił ulicę — poprowadź żonę. Wstąpię do cukierni.

Złotowiecki podał rękę Klarze i z wolna szli naprzód. Milczeli przez chwilę oboje.

— Dzisiejsze przedstawienie udało się nie źle — zagała Klara, by przecie coś powiedzieć.

— Tak... — odrzekł Albert, wyraz ten przeciągając — mnie bo teraz już wszystko podoba się w W....

— Dość tu przyjemnie.

— I pani to znajdujesz? — zapytał szybko, jak gdyby jej wyrazami szczególnie zainteresowany.

Klara to zrozumiała, a raczej odczuła; zmieszana się nieco i odrzekła:

— Aklimatyzowałam się...

Posłyszeli nadchodzącego Lucjana i przystanęli, a potem razem szli dalej. Złotowiecki aż na miejsce poprowadził Klarę. Lucjan niósł ciast pake.

W południową godzinę nazajutrz, pan Albert słowa dotrzymał i poezje przyniósł. Klara podziękowała mu uprzejmie i wskazała na fotel, siadając na kanapie.

— Czy nie zastałem pana Lucjana? — zapytał.

— Poszedł z wizytami — Klara była pewną, że o tem wiedział.

Po chwili kawaler, pozując zgrabnie w krzesło, wymówił:

— Otóż zostaję w W... na resztę zimy. Nie jadę już do Warszawy.

Klara zadrgnęła i podniosła oczy. Spotkały się ich spojrzenia; w oczach Alberta jakiś niezwykły i głęboki był wyraz, tak że zaraz spuściła powieki, a jej lica zrózowiały nagle.

— Więc pan już nie wyjedziesz? — zagała, byle coś powiedzieć, bo on milczał.

— Nie, pani. Jestem jakby przykuty do W... — stłumił westchnienie — *Vogue la galère!* — machnął ręką, w świeżutkiej rękawiczce, — i niechaj mnie poniesie. Są chwile w życiu, które nami rządzą...

Klara o czemś innem mówić poczęła. Albert krótko zabawił i pożegnał się co nie mile na niej zrobiło wrażenie. Potem wyrzucała sobie, że go na wieczór nie zamówiła. Dziś nie było teatru, to i jakżeż te długie przemęczy godziny? Wyrzucała sobie nieobycie towarzyskie, nieśmiałość, dzieciństwo.

Lucjan z wizyt powrócił:

— Był Złotowiecki? — zapytał.

— Był... przyniósł te poezje.

— Czy przyjdzie wieczorem?

— Nie wiem.

— Dla czegoż go nie zaprosiła?

— Ciebie nie było...

Lucjan się zaśmiał, głową poruszył i pocałował ją serdecznie.

— Ah, ale! — zagała — musisz być z wizytą u pani radczyni, wymaga tego interes.

— Dobrze, owszem — odrzekła Klara chociaż od pewnego czasu nie lubiła wizyt, ani oddawać, ni przyjmować; przenosiła obecność Złotowieckiego nad wszelkie towarzystwa. On zapełniał jej czas zupełnie.

— Pójdziemy jutro zaraz — mówił Lucjan dalej — miła i wykształcona to osoba. Dom mają urządzoney wykwinicie.

Przed wieczorem wniósł Paweł pakę książek, wraz z listem.

— Od pana Złotowieckiego — wymówił — lokaj czeka na odpowiedź.

Klara rozerwała pieczętkę. Co on też pisze? — Przeczytała:

„Mam zaszczyt załączyć pani mojej: *Revue des deux mondes*, aby choć chwilę przyjemnie zapełnić! Wskażę Pani mojej kilka zajmujących artykułów.

Czy państwo będziecie dziś wieczorem u siebie? Pozwoliłbym sobie stać się natrętnym.

Z czcią i czołobitnością

oddany i poddany

Albert Złotowiecki.

Klara z różą na licu przeczytała te wyrazy. Odpowiedziała natychmiast:

„Wieczorem będziemy w domu i prosimy.

K. T.“

Liścik pana Alberta przeczytała dwa razy, zanim go schowała przy pierwszym.

(C. d. n.)

STUDJA O SZTUCE W POLSCE

Skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

(Dokończenie.)

Wystawa obrazów we Lwowie w r. 1875.

V.

Malarze krakowscy, lwowscy i inni.

Przed tygodniem zamknięto wystawę lwowską a i nam nie pozostało o niej wiele do powiedzenia.

Artyści lwowscy nie dali nam tego roku nic takiego, coby na baczniejszą zasługiwało uwagę. Znany portrecista, p. Andrzej Grabowski, wystawił kilka portretów, — między którymi był bezsprzecznie najlepszym portret mężczyzny w stroju polskim, a najsłabszym portret kobiety, brunetki, — i dwa obrazki, z których jeden miał być pejzażem, a drugi kompozycją rodzajową. Kto kolejno przebiegłszy okiem wszystkie prace p. A. Grabowskiego spojrziałby potem do katalogu, ten aniby przypuścił, że są one dziełem jednej i tej samej ręki, jednego i tego samego artysty! Ta głowa mężczyzny pełna charakteru, rysunek w niej poprawny, koloryt żywy — w głowie zaś tej kobiety brak rysunku, brak karnacji, brak życia. Jaki może być powód tych skoków — dalipan nie pojmujemy. Nie pojmujemy także jakim okiem patrzył p. G. na naturę, malując łąkę, po której bocian chodzi, i jaką myśl chciał wypowiedzieć malując *Sypanie kopców*. Łąka i bocian wcale się nie powiodły — a co do drugiego obrazku, to tak niemiłe zrobił na nas wrażenie, że nie możemy powstrzymać się od wypowiedzenia na tem miejscu kilku słów, na które artysta najzupełniej sobie zasłużył. Wyobraźcie sobie państwo grono wieśniaków niefortunnie wyrisowanych, a wymalowanych monotonna farbą czerwoną, jakby wszyscy byli co najmniej pijani; wyobraźcie sobie między nimi chłopaka, którego na usypanym świeżo kopcu biją według prawideł na wsi przyjętych, aby do końca życia pamiętał gdzie jest granica wioski; wyobraźcie sobie inżyniera, który przez lunetę ma niby patrzeć na drugi kopiec, a tymczasem patrzy właśnie w to miejsce, w które chłopca biją; wyobraźcie sobie nareszcie pejzaż bez tła, przestrzeń bez powietrza, niebo bez koloru, a będziecie mieli akwarelę p. Andrzeja Grabowskiego, którą komisja w brew wszelkiej przyzwoitości pomieściła na wystawie tegorocznej. Niech nam daruje p. G. ale takiego obrazu nie można umieścić nawet w przedpokoju. Możemy się za cierpko wysłowili — lecz zdaniem naszym lekceważenia sztuki żadnemu artyście nie można przebaczyć.

Tegoroczne rysunki p. Wojciecha Grabowskiego, były o wiele słabsze od tych, któreśmy oglądali roku ubiegłego. W tamtych było serce, poezja, piękna natura, — w tych przeważa zimny realizm. Lepiej jeszcze wypadł *Żyd wieczny tułacz*, wiatrem pędzony, w którym kilka miejsc artysta wykończył *con amore*, ale co do *Dziwonika*, pokrytego lachmanami i o twarzy zbydlonej, to wyznać musimy, że trudno się nim zentuzjasmować. Pan W. Grabowski rysował go widocznie w chwili wewnętrznego rozstroju. Kto jednak raz już złożył tak piękne dowody niezwykłego talentu, ten powinien stworzyć rzeczy piękniejsze, i dla tego nie zatrzymując się dłużej przy pracach tegorocznych, pocieszamy się nadzieją, że p. Wojciech Grabowski da nam wkrótce nierównie lepsze.

Pan Młodnicki nie jest bez talentu, ale jakim okiem patrzy on na naturę i kolory! Na jego licznych akwarelach oglądaliśmy kilkanaście głów, których oczy zdradzały życie, ale za to jak rysuje draperje i jak strasznych dobiera barw, aby wymalować ciało, szczególnie u ludzi starszych! Wszak to nie draperje, lecz drzewo — to nie ciało, lecz kości powleczone skórą, która się już psuje. Może to prawdziwe — ale straszne. Nikt nie zaprzeczy, że między naszym ludem znajdują się figury wynędzniałe, prawie przerażające — lecz czy godzi się malować je

żywcem, aby potem ludzi straszyla? Gdyby kobieta ze słabymi nerwami rozpatrzyła się w akwarelach p. Młodnickiego, ręczę że zrywałaby się po nocach, myśląc, że ją straszą mary okropne. I nie tylko ludzi przerażających daje nam p. Młodnicki; jego drzewa, cała natura jest pełną grozy demonicznej. Takich wierzb jak u niego nigdzie nie widziałem; to nie wierzyby ale upiory. Pan M. ma fantazję chorobliwą, i jeżeli nie zerwie z nią na zawsze, wrodzone jego zdolności, których mu zaprzeczyć nie można, nigdy się nie rozwiną.

Portrety p. Tepy — chociaż starannie wykończone, — nie zachwycają mnie tak, jak wielu innych. Zamiast włosów na brodzie, które na brzytwę czekają, wołałbym więcej krwi w żyłach, a pracowitość w wykończeniu najdrobniejszych szczegółów, oddałbym chętnie za oko wyraziste i więcej życia w całej twarzy. Akwarele p. Tepy są pracowite ale brak im duszy...

O rzeźbach, a właściwie próbkach rzeźb, które znajdowały się na wystawie nie wiele da się powiedzieć. Ta gałęź sztuki jest u nas jeszcze w zarodku, i według wszelkiego prawdopodobieństwa nie tak prędko się rozwinie. Na uwagę zasługiwało jednak ze smakiem traktowane popiersie Fr. Chopina, dzieło p. Stanisława Tańko, i charakterystyczna figurka, wymodelowana w glinie przez p. Edwarda Błotnickiego, przedstawiająca p. Onufrego z *Szczutka*. W tej gałęzi sztuki p. Błotnicki okazuje bardzo wiele talentu, i gdyby chciał częściej obdarzać nas zabawnymi figurkami, w naszych salonach przyjęłyby się one łatwo i zdobyłyby je nierównie lepiej, aniżeli zagraniczne nedorzecznosci z porcelany.

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carycy,

Katarzyny II.

(Ciąg dalszy.)

III.

Zaledwo Elżbieta wyzionęła ducha, dwór cały zbiegł się natychmiast powinszować wstąpienia na tron w. księcia. Car nie okazywał więcej słabego ducha ani chwiejności; przyjmował wszystkich z godnością odpowiednią jego stanowisku. Dwór cały jako też gwardja zostały natychmiast powołane do przysięgi. Po skończonej ceremonji, car objeżdżał znakomitsze ulice stolicy i rozrzucał po nich pieniądze. Żołnierze cisnęli się naprzeciwko, wrzeszcząc na całe gardło:

— N. Panie! jeśli będziesz miłościwym dla nas, będziemy ci służyli równie wiernie i dobrze (wieroję i prawdoję), jak służyliśmy naszej matce (matuszkie) carowej!

Okrzyki radości narodu zmieszane z wykrzyknikami żołnierzy, okazywały, że nie udały się zabiegi nieprzyjaciół księcia, aby go zohydzić w oczach wojska i ludu.

Piotr uwolniwszy się od długiej i ciężkiej zależności, w jakiej utrzymywała go ciotka, chociaż okazywał pewne zadowolenie, wszakże nie było widać na nim nieprzyzwoitego zbytku radości. Pierwsze dni panowania zostały naznaczone dobroczynną zmianą w jego charakterze, co wszystkich, którzy go znali dawniej, wprawiło w zdumienie. Nawrócenie odbyło się jakby na skinienie ręką. W. książę był porywczym, stronnictwem, zapalczywym i nieukiem; lecz Piotr III, okazał

się łagodnym, sprawiedliwym, uczonym. Wielce łaskawie przyjął wszystkich stronników zmarłej carowej ciotki, i zatwierdził ich wszystkich na zajmowanych stanowiskach i godnościach. Kochając nawet nieprzyjaciół swoich, awansował chorego Piotra Szuwałowa na generał-feldmarszałka, który atoli nie długo tem się cieszył, gdyż wkrótce umarł. Starego faworyta Elżbiety, Aleksego Grigorjewicza Razumowskiego pozostawił na dawniejszym stanowisku w. łowczego (ober-jegermejsztra), nie zważając na to, że ten tak go obmawiał przed carową, iż pewnego razu zmuszony był posłać mu w prezencie topór na czerwonej poduszce, jako zwiastuna losu, który go oczekuje w przyszłości; wszakże zostawszy panującym, zapomniał o tem wszystkim i to tak dalece, że obsypał łaskami nawet Iwana Iwanowicza Szuwałowa, który z przewrotnością nadużywał jego zaufania.

Jeden tylko generał-prokurator został usunięty z urzędu, gdyż za nadto dokuczał w. księciu; wszakże po dymisji nie nastąpiła żadna inna kara. Pozostawiono mu wolność i majątek, powołując na jego miejsce zwykłego prokuratora Glebowa, znanego Piotrowi III, jako wykonawcę w sprawach Holsztyńskich; Glebow zasłużył był za to na szczególne względy, czego jednak nie chciał uznać niewdzięczny generał-prokurator.

W. księżna z początku była pełna strachu, na wspomnienie chwili, gdy małżonek jej, objawszy najwyższą władzę, zechce obrócić przeciwko niej zasłużone prześladowanie. Lecz zamiast tego, carowa została obsypana łaskami i zaufaniem; zdawało się, że zapomniał o występkach i myślał odtąd tylko o wzmocnieniu jej wysokiego stanowiska, szukając w niej zalet; w skutek czego większą część dnia przepędzał z nią na przyjaznem obcowaniu i naradach nad najważniejszymi sprawami stanu. Dwór cały dziwił się tej zmianie i okazywał ztąd radość przed nią, lecz ona jedna nie dając się uwieść pozorom, przypisywała wszystko temu, że mąż nie umiejąc panować, szuka u niej pomocy; dla niej przeto postępowanie cara nie było żadnym dowodem przyjaźni ale tylko słabości.

Jedną z najpierwszych trosk nowego cara było uwolnienie mnóstwa cywilnych więźniów, do 17 tysięcy, których podejrzliwość Elżbiety i złość jej zauszników wygnały w stepy Sybiru. pomiędzy nimi znajdował się także słynny Biron, znany przez długie czasy jako zuchwały kochanek i minister carowej Anny. W liczbie powracających znalazł się generał-feldmarszałek Münich, 84letni starzec, na spotkanie którego jeden z żyjących jego synów, w orszaku 32 wnuków i prawnuków, wyjechał za miasto. Stary ten bohater stawiał się przed Piotrem III w baraniej skórze, w którą ubierał się na pustyni Pełymskiej; car natychmiast przyozdobił go orderem ś. Apostoła Andrzeja powracając mu równocześnie rangę generał-feldmarszałka, przyczem powiedział:

— Spodziewam się, że nie zważając na wasz późny wiek, będziecie mogli służyć mi jeszcze?

Münich na to odrzekł:

— N. Panie! Wyprowadziłeś mnie z ciemności na światło, z zimnego lochu do ciepłego podnóża Twego tronu, czyż mógłbym więc nie poświęcić Tobie resztek mego życia? Ani długie więzienie, ani surowość klimatu Sybirskiego nie zdołały osłabić zapалу, który dawniej umiałem

okazywać dla korzyści Rossji i sławy mego monarchy.

Lestok, któremu Anna zawdzięczała swoje wstąpienie na tron, aby go następnie poświęcić zawiści nieprzyjaciół chciwych jego majątku, został także ulaskawiony przez Piotra III. Pozostawszy przy miernym majątku, Lestok mieszkał w Petersburgu, aby razem z Münichem i Biornem udowodnić, że nie mało skorzystali z nauki nieszczęścia. Co dnia przybywało do Petersburga po kilka ofiar zeszłego panowania; powrót ich przedstawiał wzruszające widowisko dla narodu i dawał powód do modłów dziękczynnych za zdrowie nowego monarchy. Całe państwo rozbrzmiewało pochwałami dla niego, a niepodobna opisać zachwycenia i podziwu, gdy car pojawił się w senacie i odczytał sam nową ustawę, podług której wolno było odtąd szlachcie obierać sobie dowolnie rodzaj służby bez odwoływania się do cara i podróżować za granicę, co przedtem było zabronionem. Tak więc Piotr III uwolnił ją od niewolniczej zależności (rabstwa), w której tak długo była utrzymywana przez jego poprzedników; wdzięczna szlachta zabierała się do postawienia mu złotego pomnika. Lecz ponieważ entuzjazm nie długo się utrzymał, więc i zamiar do skutku nie przyszedł.

Najzbawienniejsze atoli dobrodziejstwo, jakie zawdzięcza Moskwa Piotrowi III, było skasowanie inkwizycji, tego postrachu ludności, która pod nazwiskiem „tajnej kancelarii“ narobiła tyle złego podczas panowania bojaźliwej i niedowierzającej Elżbiety. Car Aleksy Michajłowicz, ojciec Piotra W. stworzył tę tyrańską instytucję, która karała nie tylko zdrajców stanu ale i tych wszystkich, którzy nie podobali się monarsze lub jego zausznikom. Najmniejsze podejrzenie, najmniejsza wskazówka wystarczała tajnej kancelarii, aby więzić osoby powszechnie szanowane i oddać je następnie na najsrozsze tortury, i ani pleć, ani wiek nie uwalniały nikogo od jej okrucieństwa. Wypada z kolei powiedzieć, wskutek czego zostały przez Piotra III wydane te dwa manifesty, tchnące światłem prawodawstwa i wspaniałomyślnością zaufania; wypada objaśnić, z kąd w postępkach tego monarchy przebiegały się jednocześnie zapobiegliwość i ofiara ze swej władzy obok słabości charakteru. Ułomność i wady jego były smutnem następstwem wychowania, a chwalebne przedsięwzięcia, brały źródło w miękkiej naturze, skłonnej do zrobienia dobrego; dlatego szlachetny ten pochop wymagał częstego bodźca zewnętrznego.

W liczbie carskich generał-adjutantów znajdował się jeden z największych faworytów, młody Ukrainiec Hudowicz, istotnie przywiązany do swego pana. On to przed wstąpieniem na tron Piotra III, namówił go usłuchać rady ks. Trubeckiego, zamiast przystać od razu na propozycje Panina; otóż pod wpływem jego, wykonywał car swoje reformy, tchnące ludzkością i wielkością ducha, które zdobyły pierwsze dni jego panowania. Lecz car, będąc otoczony do koła samymi rozpustnikami, wpadł prędko w dawniejsze odrętwienie moralne i zaczął znowu oddawać się próżniactwu i pijaństwu. (C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

Najstarsze ślady istnienia człowieka w Europie.

Znany amerykański autor, Washington Irving, przeciwstawiać obfitującą w pomniki hi-

storyczne Europe, młodej jeszcze cywilizacji własnej wielkiej ojczyzny, mówi w którymś ustępie swoich „Szkiców“ o Europie starej te słowa: „A każdy butwiejący tam kamień stał się kroniką.“ Moglibyśmy orzeczenie to odnieść w Europie do każdego niemal z miast starszych i ich okolic. Dość będzie wspomnieć tylko o starych, mchem porośłych świątyniach, ratuszach i budowlach wzniesionych przez korporacje; o poniszczonych już po większej części bramach i wieżach, skarpach i fossach, o pełnych romantyczności zameczkach rycerskich, piętrzących się po skałach i innych wielu pomnikach średniowiecznych.

Jeżeli przeniesiemy się w zamierzchłą jeszcze przeszłość, to napotkamy w wielu miejscowościach ślady siedlisk rzymskich i celtyckich w budowlach i dziełach sztuki, w monetach i sprzętach — na dnie zaś jezior szwajcarskich i w oparzystkach torfiastych znajdziemy starsze szczątki budowli nawodnych z czasów kamienia i brązu, których jutrenka świeci w najodleglejszej starożytności, w okresie pozbawionym wszelkiej tradycji dziejowej.

Ale mając pod ręką zdobycze naukowe z ostatniego lat dziesiątka, możemy śledzić w odleglejszej jeszcze przeszłości za istnieniem i dziełami rąk człowieka. Początek tych śladów starszy o całe wieki od pierwszego zawiązku naszych dziejów, a nie, nie o nim nie mówi, prócz nielicznych szczątków kości i surowo obrobionych kamieni. To jedyne świadki naszego niegdyś istnienia, dziś widoczne. Nieme to a jednak tak wymowne świadki, na których sprawdzają się prawie co do joty ostatnie słowa legendy o staniu się rzeczy przez kamienie. „Gdy ludzie zamilkną, kamienie mówić będą.“

Dawno już zadawano sobie pytanie, czy znajdowano albo czy mogłyby się znaleźć ślady człowieka przynajmniej w warstwach piasku i rumowiska perjodu czwartorzędowego czyli potopowego, a zatem w najświeższej formacji geologicznej, która poprzedziła obecny okres historyczny. Nie brakło wprawdzie pojedynczych wskazówek o podobnych śladach i to nie tylko z rumowisk potopowych, ale i z również starych pokładów gliny i osadów wapienia w rozmaitych jaskiniach. Wskazówek tych jednak, jako mylnych i niedokładnych, nie przyjęli geologowie, którzy nie bez słuszności zwracali uwagę, że w takich osadach napływowych mogły się pomieścić szczątki starsze ze świeższymi. Decyzja zresztą stanowcza sławnego francuskiego anatoma, Cuvier'a odwołała niemal wszystkich od dalszych badań. Orzekł on, że w perjodzie potopowym człowiek nie mógł jeszcze egzystować, a zatem i szczątków jego w formacji potopowej znaleźćby nie można.

Kwestja ta była jeszcze do rozstrzygnięcia przed piętnastu mniej więcej laty. Nowe dopiero odkrycia pana Boucher de Perthes, gdy w rumowiskach potopowego okresu napotkał na surowe narzędzia z kamienia w dolinie Somme pod Abbeville koło Amiens, i znalazł je pomieszczone z kośćmi ssących zwierząt z okresu czwartorzędowego, spowodowały nareszcie, że Akademia francuska w r. 1858 wysłała komisję złożoną z ludzi fachowych. Z komisją tą udało się na miejsce badań także kilku geologów angielskich. Komisja zajęła się badaniem ściśle i gorliwie, gdyż składała się po większej części z członków powątpiewających. Badano długo i przedsiębrano śledztwo po kilkakroć na nowo. Owoczone czyn-

ności Akademji świadczą, że dyskusja była bardzo ożywiona. Ostatecznym jednak rezultatem było nie ulegające wątpliwości stwierdzenie poczynionych odkryć przez pana Boucher de Perthes. Istnienie człowieka w okresie potopowym było rzeczą dowiedzoną a orzeczenie Cuvier'a, którego powaga położyła była tamę wszystkim umysłom, zostało odparte. Odtąd szło jedno odkrycie za drugim, czyniono je tak w rumowiskach i osadach gliniastych, jakoteż i w zarówno starych pokładach jaskiniowych w różnych okolicach Europy, mianowicie we Francji, Belgji i Anglii, a później w Niemczech, Hiszpanji i Włoszech.

Trudnoby było wymienić wszystkie miejscowości, w których poczyniono odkrycia co do egzystencji człowieka jednoczesnej ze zwierzętami perjodu potopowego, a prawie niepodobna opisać te miejscowości wszystkie. Oczywiście, że uwzględnia się tutaj miejsca te jedynie, w których została dowiedziona jednoczesność istnienia tak ludzi jak zwierząt, i gdzie nie ma przypuszczenia, iż się znalazły resztki pomieszczone dawniejszych i nowszych czasów.

Ale zanim zajmiemy się przeglądem najobszerniejszych tego rodzaju szczątków, musimy wprzód poznać lepiej pokłady czasów potopowych i tych pokładów szczątki zwierzęce, jako należące do najświeższego przedhistorycznego okresu ziemi.

I.

POKLADY OKRESU POTOPOWEGO.

Spojrząwszy na rozległą płaszczyznę poniżej Nadreńskiego, pomiędzy Lasem-czarnym a Wogezami, przekonamy się, że nizina ta jest usłana z ogromnych i rozciągających się szeroko pokładów rumowisk i piasków. Naniósł je oczywiście wody jakiejś olbrzymiej rzeki lub wody powodzi gdzieś z daleka, skruszywszy i oderwawszy ziemię po drodze i zamuliwszy temi opadami płaszczyznę. Takież rumowiska, zrządzone powodzią, i osady piaskowe znajdują się także na pagórkach, zwykle pokryte jeszcze gliną i lotnym piaskiem z mułu. Wzgórza te ciągną się u stoku gór po obu stronach niziny Reńskiej, a przenoszą płaszczyznę Nadreńską o 300 do 600 stóp, co naprowadza na przypuszczenie daleko większego jeszcze potopu (*). Największa część kamieni błędnych niziny reńskiej pochodzi z gantunków gór odmiennych jak te, które znajdujemy w górach Jura lub Lesie czarnym i w końcu w Wogezach. Kamieni owych ojczyzną są po większej części Alpy; tam one tworzą olbrzymie, wiecznym śniegiem i lodem okryte warstwy górzystości.

Podobne pokłady rumowisk skalistych i namułu gliniastego znajdziemy nietylko w dolinie reńskiej, ciągną się one i na płaszczyźnie wyniosłej pomiędzy górami Jura a Alpami. Pełno ich także po wszystkich niemal nizinach europejskich i w innych częściach świata. Dostały one nazwę pokładów potopowych, lub też zwą się po prostu Diluvium (potop). Nazwano je tak, ponieważ niegdyś początek ich przypisywano powszechnie podanemu przez biblią potopowi (Diluvium), a w każdym razie jakiejś wielkiej powodzi, o której utrzymała się tradycja u wszystkich ludów. (C. d. n.)

*) Zwracamy jednak uwagę, że wówczas nizina reńska nie była tak głęboko wymyta wodami, że zatem potop rozlał się po płaszczyźnie o wiele wyżej podniesionej.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

ROZDZIAŁ XXII.

(Ciąg dalszy.)

Wilcze doły. — Lisy. — Pekarysy. — Zmiana wiatru na północno-zachodni. — Śnieżna zawieja. — Koszykarstwo. — Najsilniejsze mrozy. — Krystalizacja cukru klonowego. — Tajemnicza studnia. — Zamierzone badania. — Ziarno sruu.

Silne mrozy trwały aż do 15. sierpnia nie przechodząc jednak dotychczasowego maksimum stopni Fahrenheita. Przy spokojnem powietrzu niską tę temperaturę znieść było łatwo; ale gdy się wiatr rozhulał, stawała się ona dosyć nie miłą dla ludzi niedostatecznie odzianych. Pencroffa skłoniło to do wyrażenia żalu, że wyspa nie mieściła w sobie kilka rodzin niedźwiedzi zamiast lisów i fok, których futro wiele pozostawiało do życzenia.

— Niedźwiedzie — mówił — mają w ogóle doskonałą odzież i prawdziwie życzyłbym sobie tylko pożyczyć od nich na zimę ciepłej kapoty, którą są okryte.

— Ba! — odpowiadał na to Nab — a kto wie, Pencroffie, czyby się one zgodziły na tę pożyczkę? Zwierzęta te nie są bynajmniej podobne do świętego Marcina!...

— No! toby się je poprosiło, Nabie — poprosiłoby się je — odcinał się Pencroff tonem największej pewności.

Ale te groźne drapieżniki nie istniały wcale na wyspie, lub przynajmniej dotychczas się nie pokazywały.

Na wszelki jednak wypadek Pencroff i korespondent zajęli się urządzeniem wilczych dołów na Wielkiej Tarasie i w pobliżu lasu. Wedle zdania marynarza, każde zwierzę było pożądaną zdobyczą, i gryzoń czy drapieżnik, schwytany w nowo urządzonej zasadzce, mógł się spodziewać dobrego przyjęcia w Granitowym Pałacu.

Co do owych zasadzek, konstrukcja ich była nadzwyczaj prosta: doły wykopane w ziemi, po nad nimi powala z gałęzi i ziół, ukrywająca otwór, wewnątrz jakaś przynęta, której zapach mógł przyciągnąć zwierzyne — otóż i wszystko. Należy wspomnieć także, że nie kopano tych dołów na chybił trafił, ale w pewnych, oznaczonych miejscach, kędy liczniejsze tropy wskazywały częste przechody czworonogów. Codziennie odwiedzano te zasadzki, i po trzykroć, w ciągu pierwszych dni, znaleziono w nich okazy tych „kulpesów“, które osadnicy widzieli już na prawym brzegu Dziekczynnej.

— Ach! do kroćset! więc tylko same lisy w tym kraju!... — wykrzyknął Pencroff, po raz trzeci wydobywając jednego z tych nieboraków z dołu, kędy siedział z bardzo kiepską miną. Te bestje na nic się nie zdały!...

— Ależ przeciwnie — odpowiedział mu Gedeon Spilett. — Zdadzą się i one na coś!

— Ciekawym na co?

— Na wabika dla innych!

Korespondent miał słuszość i odtąd w dołach kładziono za przynętę zabite lisy.

Oprócz tego marynarz narobił także siatek, z włókien sitowia zwanego kurry, i było z nich więcej pożytku niż z dołów. Rzadko dzień przeszedł, ażeby nie schwytano się w nie jaki królik. Prawda tylko, że tym sposobem trzeba było jeść

królika i wciąż królika, ale Nab umiał urozmaicać sosy do nich, biesiadnikom ani na myśl nie przychodziło się na to skarżyć.

Jednakże, raz czy dwa razy, w drugim tygodniu sierpnia, doły obdarzyły myśliwców innemi i użyteczniejszymi niż kulpesy zwierzętami. Było to kilka z owych dzików, które zauważano już w okolicach jeziora. Pencroff na ten raz nie potrzebował pytać się, czy ta zwierzyna jest jadalną, Można było to poznać odrazu, po jej podobieństwie do świni amerykańskiej i europejskiej.

— Ale to nie są bynajmniej świni, uprzedzam cię, Pencroffie — rzekł do niego Harbert.

— Mój chłopcze — odrzekł Pencroff, pochylając się nad dołem i wyciągając za małeńki wyrostek, służący im za ogon, jednego z tych przedstawicieli rodziny gruboskórnych — pozwól mi wierzyć, że to świnię...

— Dla czego?

— Bo mi to sprawia przyjemność!

— Lubisz więc bardzo wieprzowinę?

— Lubię bardzo wieprzowinę i jej posiadacza — odparł marynarz — szczególnie za jego nogi, i gdyby miał ich ośm zamiast czterech, lubiłbym go jeszcze więcej.

Co zaś do owych zwierząt, były to pekarysy, należące do jednego z czterech gatunków, składających tę rodzinę, a mianowicie do gatunku „tajassous“, który rozpoznać można po barwie ciemniejszej i braku klów, uzbrajających ryj reszty kuzynów. Pekarysy te żyją zwykle stadami i prawdopodobnem było, że znajdowały się w obfitości w częściach lesistych wyspy. Bądź co bądź, jadalne były od stóp do głów, a Pencroff niczego więcej od nich nie żądał.

Okolo 15. sierpnia stan atmosfery zmienił się nagle, z powodu przejścia wiatru wschodniego w północno-zachodni. Temperatura podniosła się o kilka stopni, a wyiewy nagromadzone w powietrzu nie omieszkaly rozsypać się śniegiem. Wyspę całą pokryła biała zasłona i pod inną postacią znowu ukazała ją jej mieszkańcom. Śnieg ten sypał obficie przez kilkanaście dni i wkrótce wysokość jego doszła do dwóch stóp.

Wnet też wiatr się rozhulał nader gwałtownie i z wysokości Pałacu Granitowego, słychać było morze grzmiące na rafach. W niektórych zagłębieniach skał tworzyły się wiry powietrzne, a śnieg kręcił się tam w wysokich słupach, podobnych do owych trąb płynnych, okręcających się na swojej podstawie, które okręty muszą strzałami z armat rozbijać. Na szczęście, huragan idący od północy-zachodu uderzał na wyspę z tyłu, co ratowało Pałac Granitowy od bezpośredniego naporu. Jednakże, w pośród tej śnieżnicy, tak strasznej, jaka być mogła kiedykolwiek gdzieś w okolicach polarnych, ani Cyrus Smith, ani jego towarzysze, nie mogli, pomimo najgorętszej chęci, wyjść na zewnątrz i pozostali w zamknięciu przez pięć dni, od 20 do 25 sierpnia. Słychać było burzę szalejącą w lesie jakamarowym, gdzie musiała wiele zrządzić szkody. Mnóstwo drzew niezawodnie wyrwało z korzeniem, ale Pencroff pocieszał się myślą, że to oszczędza trudu zrębywania.

— Wichor robi się drwalem — nie przeszkadzajmy mu — powtarzał.

Zresztą nie było żadnego środka przeszkodzenia mu.

Jakież składali naówczas dzięki niebu, mieszkańcy Granitowego Pałacu, za obdarowanie ich tem doskonałem i niewzruszonym schronieniem! Cyrusowi Smith dostawała się, jak łatwo pojąć,

zasłużona częśćka w tych podziękowaniach — ale, koniec końców, natura to wyłobila tę jaskinię, i jemu zawdzięczać można było tylko jej odkrycie. Tutaj wszyscy byli bezpieczni i ciosy burzy nie mogły ich dosięgnąć. Gdyby byli zbudowali na Wielkiej Tarasie dom z cegieł i drzewa, niewątpliwie nie byłby się oparł teraz wściekłości huraganu. Co zaś do „Dymników“, dosyć było przysłuchać się grzmotowi rozlegającemu się niezmierną siłą od ich strony, ażeby pojąć, że w tej chwili musiały być zupełnie nie mieszkalne, ponieważ morze, przewaliwszy się przez wysepkę, wściekle o nie uderzało. Tymczasem tutaj, w Pałacu Granitowym, w pośród tych ścian, których napocząć nie mogły woda ani wichor — nie było najmniejszej obawy!

Przez czas tych kilku dni zamknięcia, osadnicy nie założyli rąk bezczynnie. Drzewa w deskach nie brakło w składzie, powoli więc skompletowano ruchomości stołami i krzesłami, mocnem i niewątpliwie, bo nie oszczędzano na nie materiału. Sprzęty te trochę przyciężkie, źle usprawniły swoją ogólną nazwę: „ruchomości“, której głównym warunkiem jest łatwość przenoszenia z miejsca na miejsce, a jednakże były dumą Naba i Pencroffa, którzy nie byliby ich zamieniali na cacka wyrobu Boule'a.

Następnie osadnicy ze stolarzy zmienili się w koszykarzy, i wcale nie źle udawała im się ta nowa fabrykacja. Odkryli w kierunku owej wzniosłości, którą jezioro tworzyło na północy, obfitą łożynkę, kędy rosło mnóstwo purpurowej łoży. Przed porą dżdżystą, Harbert i Pencroff zebrali znaczną ilość tych pożytecznych krzewów i obecnie gałęzie ich, dobrze już przygotowane, mogły być ze skutkiem użyte. Pierwsze próby wypadły niekształtnie, ale dzięki zręczności i inteligencji robotników, naradzających się, przypominających sobie widziane wzory, współzawodniczących z sobą, kosze i koszyki najrozmaitszych rozmiarów powiększyły wkrótce inwentarz osady. Zaopatrzono w nie magazyn, a. oprócz tego Nab poumieszczał w specjalnych koszykach swoje zbiory rhisomów, migdałów, szyszek sosnowych i korzeni smokownika.

W ciągu ostatniego tygodnia miesiąca sierpnia powietrze się raz jeszcze odmieniło. Temperatura zniżyła się nieco i burza ucichła. Osadnicy zrobili wycieczkę na zewnątrz. Leżało tam niewątpliwie ze dwie stopy śniegu na ziemi, ale po powierzchni jego stwardniałej iść można było bez zbytej trudności. Cyrus Smith i jego towarzysze weszli na Wielką Tarasę.

Co za zmiana! Te lasy, które zostawili w zieleni, szczególnie w części sąsiadującej z gajem sosnowym, zniknęły obecnie pod jednolitą barwą. Wszystko białło się, od szczytu góry Franklina aż do wybrzeża: lasy, łąka, jezioro, rzeka. Fale Dziekczynnej pędziły pod sklepieniem z lodu, które za każdym przypływem i odpływem tajało i łałało się z trzaskiem. Mnóstwo ptaków ulatywało nad zmarzniętą powierzchnią jeziora: kaczkami i krzykami, łyskami i nurkami. Było tego tysiące tysięcy. Lody jeżyły się na skałach na krawędzi tarasy, pomiędzy które spadała kaskada. Powiedziałyby, że woda wylewa się z potwornej ryny, wyrzeźbionej z całą fantazją artystyczną renesansu. Szkód wyrządzonych w lesie przez huragan niepodobna było jeszcze obliczyć. Trzeba było czekać, aż stopnieją śniegi.

Gedeon Spilett, Pencroff i Harbert nie chybili tej sposobności odwiedzenia swoich półapek. Z trudnością zaledwo je odnaleźli pod śniegiem.

Musieli nawet uważać, ażeby nie wpaść w który z dolów, byłoby to bowiem niebezpieczną i upokarzającą zarazem rzeczą złapać się we własną zasadzkę!

Uniknęli jednakże szczęśliwie tej nieprzyjemności i znaleźli doły najzupełniej nienaruszone. Żadne zwierzę w nie nie wpadło, a jednakże mnóstwo tropów znać było naokoło, szczególnie pomiędzy innemi ślady pazurów, wyraziście zarysowane. Harbert nie wahał się twierdzić, że jakiś mięsożernik z rodziny kotów przeszedł tędy. Okoliczność ta potwierdziła zdanie inżyniera o istnieniu na wyspie Lincolna zwierząt drapieżnych, niebezpiecznych. Niewątpliwie zamieszkiwały one zwykle gęste lasy Zachodniej Ręki, ale przyciśnięte głodem, zapędziły się aż do Wielkiej Tarasy. Kto wie, może zwęszyły mieszańców Granitowego Pałacu?

— No, ale koniec końców cóż to za bestje? zapytał Pencroff.

— Tygrysy — odpowiedział Harbert.

— Myślałem, że te zwierzęta znajdują się tylko w krajach gorących?

— Na nowym lądzie — odrzekł młody chłopiec — spotkać je można od Meksyku do pampasów Buenos-Ayres. A ponieważ zaś wyspa Lincolna znajduje się prawie pod tą samą szerokością, co prowincja La Platy, nie dziwnego tedy, że i tu trafiają się tygrysy.

— Dobrze!... będziemy się mieć na baczności — rzekł Pencroff.

Wśród tego, śnieg począł tajać pod wpływem temperatury, która się ogrzała. Deszcz zaczął padać i wnet, dzięki jego pomocy, śnieg znikł bez śladu. Pomimo brzydkiego powietrza, osadnicy odnowili swoje zapasy wszelkiego rodzaju: migdałów sosnowych, korzeni smokownika, rhizomów, soku klonowego w części roślinnej; królików, agoutisów i kangurów, w części zwierzęcej. Wymagało to kilku wycieczek do lasu i pozwoliło im sprawdzić przy tej sposobności, że huragan ostatni powalił znaczną ilość drzew. Marynarz i Nab dotarli nawet z wózkiem aż do pokładów węgla ziemnego, w celu nabrania kilku tonn paliwa. Mimochodem spostrzegli, że komin pieca garnarskiego doznał mocnych uszkodzeń od wiatru i zerwany został co najmniej na szesć stóp od góry.

Jednocześnie z węglem odnowili także i zapas drzewa, skorzystawszy z uwolnionego od lodów prądu „Dziękczynnej“, za pomocą którego spławili do Granitowego Pałacu kilkanaście ładunków paliwa. Nie można było bowiem wiedzieć, czy pora mrozów stanowczo się już skończyła.

Odwiedzili również „Dymniki“ i ujrawszy je, powinszować sobie tylko mogli, że nie znajdowali się tu w czasie burzy. Morze pozostawiło tu niezaprzeczone ślady swoich spustoszeń. Pędzone gwałtownym wiatrem, przewaliwszy się przez wysepkę, zalało korytarze i zasypało je na pół piaskiem, a skały pokryło grubemi warstwami zielska. Podczas gdy Nab, Harbert i Pencroff polowali lub odnawiali zapasy paliwa, Cyrus Smith i Gedeon Spilett zajęli się uprzątnięciem „Dymników“ i znaleźli kuźnię oraz piece prawie nienaruszonemi; nagromadzone piaski bowiem uchroniły je od zniszczenia.

Wkrótce pokazało się, że osadnicy mieli wyborną myśl z odnowieniem zapasów paliwa. Z mrozami bowiem nie skończyło się jeszcze bynajmniej. Wiadomo, że na półkuli północnej, miesiąc luty cechuje się szczególnie wielkiem znizieniem temperatury. Tak samo musiało być

i na półkuli południowej, i rzeczywiście miesiąc sierpień, odpowiadający lutemu w Ameryce północnej, nie uszedł temu prawu klimatycznemu.

Około 25, po nowych śniegach i deszczach, wiatr zmienił się na południowo-wschodni i nagle zrobiło się bardzo zimno. Wedle obliczenia inżyniera, kolumna merkurjałna termometru Fahrenheita musiałaby wskazać nie mniej jak ośm stopni poniżej zera (22°, 22 centygrad. poniżej temperatury marznięcia wody), i stan ten, który wiatr ostry dokuczliwszym jeszcze czynił, trwał przez wiele dni. Osadnicy musieli znowu zamurować się w Pałacu Granitowym i pozatykać najhermetyczniej wszystkie otwory frontowe, pozostawiając małe tylko przejścia dla dostępu powietrza. Świec wyszło bardzo wiele. Dla zaoszczędzenia ich osadnicy poprzestawali częstokroć na świetle od ogniska, do którego nie żałowano paliwa. Kilkakrotnie, jedni albo drudzy, schodzili na wybrzeże, pomiędzy lodowce, które tam każdy przyptyw nagromadzał, ale powracali natychmiast do Pałacu Granitowego, nie bez trudności i bólu chwytając za szczeble drabiny, do których przy takim mrozie przylegały im palce.

Trzeba było czemś przecie zapełnić czas tego przymusowego zamknięcia w Granitowym Pałacu. Cyrus Smith tedy wziął się do operacji, którą można było odbywać pomiędzy czterema ścianami.

Wiemy, że osadnicy nie mieli innego cukru, tylko ową substancję płynną, którą dobywali z klonu, przez głębokie nacięcia. Ten płyn zbierali w naczynia i używali go w tym stanie do rozmaitych celów kuchennych, tem łatwiej, że po dłuższem staniu, stawał się bielszym i syropowo gęstym.

Ale można to było jeszcze lepiej urządzić, a na dowód tego, Cyrus Smith pewnego dnia oznajmił swoim towarzyszom, że zajmą się rafinerją cukru.

— Rafinerją cukru! — odrzekł Pencroff — to rzemiosło grzejące, nieprawdaż?

— Nawet bardzo — odpowiedział Cyrus...

— A więc przychodzi w samą porę! — zawołał marynarz.

Niechaj to słowo „rafinerja“ nie budzi w umyśle czytelników wspomnienia owych fabryk o skomplikowanych machinach i mnogości wielkiej robotników! Gdzie tam! Do skryształizowania tego płynu, wystarczało oczyścić go za pośrednictwem niezmiernie łatwego działania. Po umieszczeniu na ogniu w wielkich naczyniach glinianych, poddano go po prostu parowaniu i wkrótce piana wystąpiła na jego powierzchnię. Skoro płyn zaczął gęstnieć, Nab uważał, ażeby go zamieszać drewnianą łyżką, dla przyspieszenia ewaporacji, a zarazem zapobieżenia, aby nie nabrał przypalonego smaku.

Po kilku godzinach wrzenia na dobrym ogniu, który zarówno dobrze oddziaływał na pracowników, jak na substancję, nad którą pracowali, sok klonowy zamienił się w gęsty syrop. Syrop ten wylano w gliniane formy, wypalone poprzednio umyślnie ku temu w piecu kuchennym i mające kształt rozmaity. Nazajutrz, syrop oziębiony utworzył głowy i tabliczki. Był to cukier, koloru trochę czerwonego, ale prawie przejrzysty i w smaku wyborny.

Zimno nie ustawało aż do połowy września i jeńcy Pałacu Granitowego poczęli już narzekać na długość swojej niewoli. Codzień prawie, próbowali wycieczek na zewnątrz, ale tylko na chwilę. Zresztą pracowali bezustanku nad urzą-

dzeniem i zaopatrzeniem we wszystko swego mieszkania. Przy pracy toczyła się pogawędka. Cyrus Smith pouczał swoich towarzyszy w tysiącu przedmiotach i objaśniał im szczególnie praktyczne zastosowania wiedzy.

Osadnicy nie mieli do rozporządzenia biblioteki, ale inżynier był księgą, zawsze gotową, zawsze otwartą na potrzebnej stronie, księgą, która rozstrzygała wszystkie ich wątpliwości, i którą często przeglądali. Tak czas mijał, nie przynosząc tym dzielnym ludziom najmniejszej trwogi o przyszłość.

Pora jednak już była ażeby to zamknięcie się skończyło. Wszyscy pragnęli, jeżeli już nie zupełnej pogody, to przynajmniej ustania tego nieznosnego zimna. Gdyby przynajmniej mieli wystarczającą odzież, ile by byli zrobili wycieczek czy to do wzgórków piaszczystych nad morzem, czy też do błota Tadornów! Zwierzyna dałaby się łatwo podejść i polowanie byłoby niewątpliwie wysmienite. Ale Cyrusowi chodziło o to, ażeby nikt nie narażał zdrowia, bo pomoc wszystkich była mu potrzebna — i rady jego usłuchano. Najniecierpliwysz jednak ze wszystkich — rozumie się po Pencroffie — był Top. Wiernemu psisku było nazbyt ciasno w Granitowym Pałacu. Przebiegał z jednego pokoju do drugiego i zdradzał na swój sposób niezadowolenie z tak długiej niewoli.

Cyrus Smith zauważał nieraz, że ilekroć Top zbliżał się do tej ciemnej studni, łączącej się z morzem a której otwór znajdował się w głębi magazynu, tylekroć warczał w osobliwy sposób. Nieraz znowu biegał na okolo tej dziury, zasłoniętej drewnianą pokrywą. Niekiedy nawet próbował wcisnąć łapy pod tę pokrywę, jak gdyby chciał ją podnieść. W takich razach poszczekiwał pewnym właściwym sposobem, wyrażającym gniew i niespokojność zarazem.

Inżynier zauważył wielkocroć te manewry Topa. Cóż więc było w tej przepaści, co oddziaływało do tego stopnia na to pojętne zwierzę. Studnia dochodziła do morza — to był pewnik. Czy może rozgałęziała się wązkimi korytarzami przez całe rusztowanie wyspy? Może zostawała w związku z jakimiś wydrążeniami wewnętrznymi? Może jaka potwora morska przybywała od czasu do czasu zachwycić powietrza na dnie tej studni? Inżynier nie wiedział co myśleć i nie mógł się powstrzymać od tworzenia dziwacznych kombinacji. Przyzwyczajony iść jak najdalej po gruncie rzeczywistości naukowej, nie mógł sobie przebaczyć, że daje się pociągnąć w dziedzinę rzeczy dziwnych, prawie nadprzyrodzonych. Ale jakżeż można było pojąć, ażeby Top, jeden z tych psów rozsądnych, które nigdy nie marnowały czasu, czekając na księżyc, parł się tak i rwał do tej przepaści, gdyby się w niej nie działo coś dla niego niepojętego? Postępowanie Topa intrygowało Cyrusa Smitha bardziej, aniżeli rozumnie przyznać się mógł sam przed sobą.

Bądź co bądź jednak, wrażeń swoich udzielił tylko Gedeonowi Spilett, uważając za zbyt uczynne wtajemniczać towarzyszy w mimowolne refleksje, wywołane okolicznością, która mogła być niczem więcej, jeno prostą psią fantazją Topa.

Wreszcie zimna ustały. Zaczęły się deszcze, ulewę ze śniegiem, ulewę z gradem, wiatry gwałtowne — ale wszystko to trwało nie długo.

Lody prysły, śniegi stopniały, — płaszczyna, tarasa, wybrzeża Dziękczynnej i las stały się dostępnymi znowu. Powrót wiosny zachwycił

mieszkańców Granitowego pałacu; wkrótce też przepędzali w nim tylko godziny snu i pożywienia.

Rozpoczęły się częste polowania w drugiej połowie września — co przywiodło Pencroffa do dopominania się z nową natarczywością o broń palną, którą, twierdził, że mu Cyrus Smith obiecał. Inżynier wiedząc dobrze, że bez specjalnych narzędzi będzie dlań niemożliwą prawie rzeczą zrobić strzelbę na coś przydatną, wymawiał się zawsze i odkładał to na później. Zresztą zwracał uwagę Pencroffa, że Harbert i Gedeon Spilett stali się biegłymi łucznikami, których strzałom nie uchodziło już żadne z wyborniejszych zwierząt: ani kangury, ani aguty, ani kabyjasy, ni gołębie, dzikie kaczkę, krzyki, lub wreszcie jakakolwiek inna pierzasta lub szerszą odziana zwierzyna. Można więc było poczekać na broń doskonalszą. Ale uparty marynarz nie dał się niczem przekonać i wciąż niepokoił inżyniera, — popierany w tem zresztą przez Gedeona Spilett.

— Jeżeli wyspa ta — mówił korespondent — mieści w sobie — jak można podejrzawać — drapieżne zwierzęta, to myślimy zawczasu o walce z nimi i wytępieniu ich. Może przyjsie taka chwila, że to będzie naszym najpierwszym obowiązkiem.

W owej jednak epoce nie kwestja broni palnej ale kwestja odzieży zajmowała głównie Cyrusa Smitha. Odzież dotychczasowa osadników wytrzymała tę zimę — ale do przyszłej dotrwać nie mogła. Skórę mięsożernych lub wełnę przeżuwających — oto, co trzeba było zdobyć za jaką bądź cenę — a ponieważ baranów skalnych nie brakło, potrzeba tedy było pomyśleć o sposobie utworzenia z nich stada, któreby się chowało na potrzeby osady. Ogrodzenie dla zwierząt domowych, kurniki dla drobiu, jednym słowem założenie folwarku w jakiejś części wyspy — oto były dwa najważniejsze plany, do wykonania w czasie pory pogodnej.

Dla tego też, a przede wszystkim w interesie tych przyszłych budowli, pałacą było kwestją zbadanie całej nieznanej części wyspy Lincoln, to jest części pod temi wysokimi lasami, rozciągającymi się na prawym brzegu Dziękczynnej, od jej ujścia aż do krańca półwyspu Wężowego, — a także i na całym wybrzeżu zachodnim. Ale na to potrzeba było stałej pogody, a więc najmniej miesiąc jeszcze czekać należało dla podjęcia takiej wyprawy z pożytkiem.

Oczekiwali osadnicy na tę chwilę z niecierpliwością, gdy nagle zaszedł wypadek, który podbudził jeszcze w nich dotychczasową żądzę zbadania w całości miejsca swego pobytu.

Było to 24. października. W ten dzień Pencroff wybrał się na obejrzenie połapek, które utrzymywał ciągle w porządku, zaopatrzone w przynętę. W jednej z nich znalazł troje zwierząt, niewątpliwie bardzo pożądaných dla kuchni. Była to samica pekari z dwoma maleńkimi.

Pencroff powrócił do Granitowego pałacu, zachwycony swoją zdobyczą i za przybyciem, jak zawsze, głośno się chlubić nią zaczął.

— No, będziemy wreszcie mieli wyborny obiad, panie Cyrus — zawołał. I pan, panie Spilett, skosztujesz tego...

— Czemużby nie — rzekł korespondent — ale naprzód chciałbym wiedzieć — czego?

— Młodego prosiątka!

— Co, — młodego prosiątka — nie więcej, Pencroffie. Słyszac twoją radość, sądziłem, że co najmniej przynosisz kuropatwę z truflami.

— Jakto? — wykrzyknął Pencroff — miałżebyś pan przypadkiem pomiatać młodem prosięciem?

— To nie — odrzekł Gedeon Spilett, nie okazując żadnego uniesienia — owszem, byleby się go nie nadużyło...

— No, no, dobrze już, dobrze, panie dziennikarzu, — odciął się marynarz, rozdrażniony takim lekceważeniem swojej zdobyczy — grasz pan rolę wybrednia? A siedm miesięcy temu, gdyśmy wylądowali na tę wyspę, nie posiadałbyś się być z radości, napotkawszy taką zwierzynę...

— Tak to, tak — odrzekł korespondent. Człowiek nigdy nie jest ani doskonałym ani zadowolonym.

— No, co tam — ciągnął dalej Pencroff — tego jestem przynajmniej pewny, że Nab się dziś popisie. Popatrzcie. Tych dwoje pekarysków ma za ledwie trzy miesiące!... Kruche będą, jak przepiórki!... Pójdź, Nabie pójdź! Ja sam dopilnuję ich upieczenia.

I marynarz, prowadząc za sobą Naba, wybiegł do kuchni i zatopił się cały w przyrządzaniu ulubionej zwierzyny.

Zostawiono mu zupełną swobodę. Nab i on przygotowali wspaniałą ucztę złożoną z dwóch pekarysów, zupy z kangura, szynki wędzonej, migdałów szyszkowych, napoju z korzenia smokownika, herbaty Oswego, — słowem ze wszystkiego, co najlepszego mieli. Ale pomiędzy wszystkimi potrawami w pierwszym rzędzie figurować miały smakowite pekarysy, duszone.

O piątej zastawiono ten obiad w sali Pałacu Granitowego. Zupa z kangura parowała na stole. Uznano ją za wyborną.

Po zupie przyszły pekarysy. Pencroff chciał sam je pokrajać, i potwornymi porcjami poobdzierał współbiedniaków.

Były one rzeczywiście wyborne, i Pencroff pożerał swoją część z przepyszmem zacięciem, gdy naraz krzyk i przekleństwo z ust mu się wyrwały.

— Co się stało? — spytał Cyrus Smith.

— Stało się.. stało się... żem sobie ząb wylamał? — odpowiedział marynarz.

— Ej!... byłoby kamienie w twoich pekarysach?... rzekł Gedeon Spilett.

— Chybaż!... odpowiedział Pencroff, wyjmując z ust przedmiot, który go przyprawił o stratę jednego żuwacza.

Nie był to bynajmniej kamień.... Było to ziarno śrótu...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

UCZONY.

(Na poddaszu w małej, ciemnej i brudnej izdebce, której całem umeblowaniem jest stół kulawy, drewniane krzesło i tapczan okryty podartym kilimkiem, siedzi przy stole, na którym księgi i rękopisy, lichy ubrany starzec z foljantem w ręku. Lampka nakryta zieloną umbrellką rzuca niepewne światło które się łamie z ostatnim odrzaskiem dnia, wpadającym przez okienko.)

Mistrzu! Kochanku duszy mojej! widzę ciebie!

Wstąpiłeś na szczyt myśli — jesteś w niebie! —

Piorunem oka chmur rozdierasz kiry...

O — widzę ciebie półboże z Stagiry!

Ty — na harfę swej myśli słoneczne promienie

Nawiązałeś — i gromom jęczyć każesz po niej...

Ty ująłeś w dłoń światów bezbrzeżne przestrzenie —

Ty całe dzieło Boga trzymasz w ludzkiej dłoni!...

Łono twe pełne ogni — mózg pelen spokoju —
U stóp twoich trofea po wygranym boju —
Nad tobą Jowisz z twarzą od gniewu pobladła.
A nad nim przeznaczenia umarłe widziało
Trupiami ramionami sięga ku twojej duszy...
Głupie fatum, choć łzami niby deszczem prószy,
Choć się krwią śmieje, a śmiechem przeraża,
Jak strach północny u bramy smętarza!...
Próżno swe trupie rozciągasz ramiona —
Jedna rzecz dla ciebie jest niedościgniona —
Myśl ludzka! — Ona ogniem popieczę ci palce
Albo lodem zamrozi... Fatum! Zginiesz w walce,
A z tobą razem w szamotaniu wściekle,
Jowisz i Pluto i niebo wraz z piekłem!
O myśli ludzka, jak Bóg niepojęta,
Wielka jak światy, niż świat bardziej święta!
Czemże ty jesteś, o moja słoneczna?
Słońcemli jesteś? — Jaśniejszaś od słońca,
Czyliś wszechświatem? — Jak świat nie masz końca,
Jesteśli Bogiem? — Jak Bóg jesteś wieczna!
A ja — czem jestem? — Nędzną garstką gliny,
Kamykiem z świata wydartym ruiny,
Listkiem odpadłym z gałęzi wszechświata,
Którym niebaczny wiatr w koło pomiata,
Aż wreszcie w strzępek stargawszy go lichy,
W grób go zawieje — ponury i cichy...
A przecież w garstce gliny mieszka płomień boży,
W listku, nad którym wiatr zimny się sroży,
Uścielił sobie gniazdko z srebrzystego puchu
Duch, który światom nakazuje prawa,
Co pioruny uwięził w swej woli łańcuchu,
Co bezpiecznie na morza grzywie stopą stawia,
A choć się morze wścieka pian wstrząsając grzywą,
Choć wydyma powietrzem swoją pierś strasliwą,
Że się z płaszczyzny góry niebotyczną staje,
A potem nagle tysiąc tchnień wydaje
I ściągawszy swe niebem napelnione łono
Nagle przepaścią straszy niegłębią —
Choć morze jęczy, burzy się i wścieka,
Przecież po niem okrętem buja myśl człowieka, —
Choć gromy warczą i z szaloną siłą
Chcą bryle ziemską roztrząsac w kawały,
Człowiek nie stęchłszy i z głową pochylą
Nie będzie błągał, by go ominąć zechciały,
Tylko żelaznym prętem skinawszy do góry
Gromy weźmie w wędzidła — okubaczy chmury!...
O! Jam nie niczem! — jam wielki i możny,
Bom pełen ducha, jak lampa oliwy
Ciało me — jest to zmęczony podróżny —
Zasypia pośród chwastów i pokrzywy —
Lecz duch mój żywy! — On światami włada —
Na tronie niebios obok Boga siada
I z Bogiem razem dzierząc rządy świata —
Wznosi się w niebo — to na ziemię złata
I ruchem ciągłym, nie mającym końca
Porusza ziemię i wstrzymuje słońca!
Ja tego ducha mam tu — w moim łonie!
Czuje go — stem piorunów w mojej piersi płonie —
To jako dziecko kwili tak, że pierś ma cicha,
Skarży się — jęczy — i płacze — i wzdycha —
To znówu jako lew srogi się rzuca...
Wtedy ztrąsznym orkanem szaleją me płuca —
Ramię się zgina w kabłąg — pięść zaciska —
W żyłach krew pali — oko ogniem błyska...

(przerzuca karty księgi)

Zanadto dzisiaj pracowałem wiele —
Trzeba odpocząć! — zimno czuję w ciele —
Nie ma czem ogrzać się — pracujmy dalej,
Niechaj duch ciała powłokę rozпали...

(zaczyna czytać — po chwili)

Głowa mi cięży, a myśl skołatana
Nie chce być woli rozkazom posłuszną...
Tak mi nie zdrowo dziś jakoś — i duszno...
Ah! — Zapomniałem, że jeszcze od rana,
Nie miałem w ustach nic... Czas zjeść wieczerzę!...

(po chwili z gorzkim uśmiechem)

Jaka? I za co? — Śmiech i rozpacz bierze,
Kiedy pomyśle, żem duchową pracą
Nie zyskał tyle, aby jeść mieć za co!
Ha! — Jeśli szczęściem miałby być stół suty —
Lepiej niż myśleć, byłoby szyć buty!

(przechadza się)

Lecz to wewnętrzne moje przeświadczenie
Że na mej myśli potężnej skinienie

Cudny świat myśli tworzy się — ma życie —
O! To nagradza głód i chłód sówicie...

(po chwili staje)

A jeśli tylko ja się mamie? — Boże!
Jeśli się ludzę, jeśli wmawiam w siebie,
Żem jest potężny?... Nie... to być nie może! —

(chodzi coraz szybciej — po długiej chwili pada na krzesło
i utkwivszy wzrok szklisty w jeden punkt mówi jakby bez-
przytomnie)

Pośrodku niebios strasznej głębokości...
Cóż wynalazłem? — Nic — oprócz nicości! —
A nicość taka straszna, tak ohydna —
Tak naga i tak obrzydliwie widna! —
Jam po niebiosach żeglował daleko
Do źródła słońca, do Boga leciałem —
Pytałem słońca ognistą powieką,
Czyli tam dójde — nie — ja nie pytałem —
Ja byłem pewny, że dolecę musze,
Że duchem silnym zapory pokruszę,
Co mnie nie chciały puścić lotną drogą
Ale się zawiodł — o zawiodłem srogo! —
Nauce życiem oddałem się całem
Lecz czy doszedłem tam — gdzie stanąć chciałem?

(pauza)

Czyż wiem przynajmniej, czemu złote ziarno
W jesieni ziemią otulone czarną.
Na wiosnę listki zielone ubiera
I cudne kwiaty o barwie tęczowej? —
Czemu to ziarno w ziemi nie umiera?
Dlaczego człowiek, gdy go żwir grobowy
Nakryje — z ziemi nie wstanie o wiosnę? —
Dla czego z niego ni chwast nie wyrośnie? —
Dlaczego ludzkość w szalonym pośpiechu
Smieszna w swych cnotach, obrzydliwa w grzechu,
Bezwiednie płynie naprzód, gdyby fala? —
Dla czego tyle trupów na tym świecie?
Dla czego tyle zbrodni ziemię kała? —
Dla czego człowiek do śmierci — wciąż dziecię —
Za cackiem goni, by je rzucić potem
Wprzód popsowawszy? I cóż ja wiem o tem? —
Tylem się męczył, namozolił tyle,
A dzisiaj widzę że nic nie wiem jeszcze...
Nie!... To jest słowo okropne złowieszcze...
W niem się objawia szatan w całej sile!...

(zrywa się)...

Nie! — Ja wiem wiele! — Mam duszy skarbnicę,
W niej pełno myśli — w sercu ognia żary...
Czuję głęboko — mam chęci — zamiary —
I silnej woli jasną łyskawicę!...
Ja mogę zrobić wiele — bardzo wiele —
Odkryję bóstwa skrytą tajemnicę
Odgadnę Boga niepojęte cele
I ludzkość zbawię! — (pauza).

(C. d. n.)

IDEALIŚCI.

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

Tom II.

ROZDZIAŁ III.

P. Tadeusz i p. Karol ułożyli po drodze do miasta plan kampanji, na którą się wybrali. Oczywiście było rzeczą, iż Helenka nie powinna była wiedzieć, dlaczego zabierano ją nagle do Rymiszowa, postanowiono więc nie wpominać ani jej, ani córkom p. Skryptowicza, że Waław tam się znajduje, ale natomiast, dla zmniejszenia opozycji przeciw wyjazdowi Helenki, miał p. Karol szepnąć na ucho swojej żonie, o co chodzi. Wszystkie te ostrożności były zbytecznymi, zważywszy że p. Zgorzelski podczas swojej wizyty u pp. Skryptowiczów nietylko wspominał o Waławie Rolińskim, jako częstym gościu pp. Zameckich,

T. II. nr. 33.

ale nadto, ponieważ miał zwyczaj przy każdej sposobności odzywać się z przekazem o pani Helenie, więc nie omieszkiał dodać, jak dalece młody ten technik jest u niej w łaskach, i jak często towarzyszy jej w przejażdżkach konnych. Otóż Helenka nie tylko pamiętała dobrze te słowa p. Alfreda, i ton, jakim były powiedziane, ale nadto od kilku dni nie myślała o niczem innym, jak tylko o tem. Przedewszystkiem rozmyślanie te obudziły w niej coraz serdeczniejszą nienawiść ku p. Alfredowi i widzieliśmy już, że sumaryczne postępowanie p. Karola z tym bohaterem naszej powieści znalazło z jej strony uznanie nawet wówczas, gdy córki ganiły zbytnią gwałtowność ojca. Był ten p. Alfred w jej oczach człowiekiem godnym pogardy, i zdolnym do każdego kłamstwa. Ale kto wie, czy kłamał? Waław był taką doskonałością, jakiejby drugiej nie znalazł na świecie, nie tedy dziwnego, że mógł podobać się p. Zameckiej. Ciocia zapewniała wprawdzie, że kobiecie zameckiej nikt inny podobać się nie może, oprócz własnego jej męża, ale w mieście, jak niemniej na wsi, zbyt wiele żywych przykładów zaprzecza temu pięknemu ale martwemu prawidłu, by szesnastoletnia panienka nie miała domyslać się, że tak być powinno, jak mówi ciocia, lecz niestety, nieraz bywa inaczej. Dlatego to co mówił p. Zgorzelski, i co dawał do zrozumienia półuśmiechem i półprzymrużaniem oczu, mogło być prawdą, i pani Zamecka mogła okazywać nadzwyczajne względy Waławowi, który podobał jej się niewątpliwie, bo komuż, ach komużby się nie podobał? Ta pani Zamecka musiała być tem, co ciocia nazywała „złą kobietą.“ Od ośmiu lat, chociaż była siostrą cioteczną p. Karola, nie odwiedzała go nigdy, ani jego rodziny, podczas gdy mąż jej bywał tu tak często, a był to taki miły człowiek, i taki dobry, i tak zawsze serdecznie wspominał o swojej żonie, obiecując Helence, że kiedyś w niej znajdzie matkę. Helenka — nie chciała takiej matki, nie lubiła jej czegoś, chociaż jej nigdy nie widziała. Czy tylko ta pani Zamecka była piękną, i czy mogła podobać się Waławowi? Ha, gdyby tak było, Helenka przestałaby myśleć i marzyć o Waławie, i... o, umarłaby z pewnością. Na wszelki wypadek, warto było pojechać i zobaczyć tę panią Zamecką, i zobaczyć — Waławę przy tej sposobności. Nie mam nigdy pretensji przedstawiać moich bohaterów w tem świetle, w jakim mogą przedstawiać się najkorzystniej, i w jakim przedstawiają się sami sobie i światu. Helenka nie wyznała sama przed sobą, że pragnie widzieć Waławę, a jednak zdecydowała się jechać do Rymiszowa z wielką ochotą, i z radością, którą kryła, ażeby nie zrobić przykrości cioci, Frani i Adelci. Płakała zresztą serdecznie przy rozstaniu z niemi, i obiecała pisywać do nich co dnia, aż do swego powrotu.

P. Tadeusz zabawił kilka dni w mieście, z powodu różnych interesów, między którymi jeden był najważniejszy. Poruszył go p. Skryptowicz, napomknawszy, jak trudnemi bywają pertraktacje spadków w takich wypadkach, gdzie nie ma bezpośrednich spadkobierców, i gdzie, jak np. u nas kolateralni aż do szóstej linii uprawnieni są do sukcesji, a często rozpróśzeni po całym świecie. Z tąd powstać mogą procesa nieskończenie długie, i rujnujące najpiękniejsze majątki. P. Karol przytoczył parę wypadków podobnych ze swojej praktyki prawniczej.

— Wiesz ty, Karolu, że jestem nieskończenie wdzięcznym przypadkowi, który ci podsunął ten temat rozmowy? Od dawna wybieram się

zrobić testament, i skoro wrócę do Rymiszowa, sprowadzę natychmiast rejenta dla spisania tego dokumentu.

— Jaby ci radził nie odkładać tej sprawy.

— No, wszak nie myślę jeszcze umierać.

— A kto ci ręczy, że np. pociąg, którym pojedziesz, nie wyskoczy z szyn, albo że dzięki autonomicznej troskliwości o porządek w mieście, rusztowanie jakie nie zwali ci się na głowę?

— Masz słusność. Zaraz jutro pójdziemy do notariusza, i pomożesz mi ułożyć testament, zwłaszcza że takie rzeczy najlepiej załatwiać, gdy człowiek czuje się zupełnie zdrowym na ciele i na umyśle.

Nazajutrz tedy, p. Tadeusz podyktował w kancelarii notarialnej testament, mocą którego cały swój majątek ruchomy i nieruchomy zapisał wychowance p. Karola Skryptowicza, pannie Helenie Grodeckiej. Aż do jej pełnoletności, pani Helena Zamecka miała pobierać wszystkie dochody, po tym terminie zaś, zostawało jej dożywocie na połowie majątku. Oprócz tego poczynił p. Tadeusz mnóstwo legatów, a egzekutorem testamentu i administratorem majątku na wypadek swojej śmierci mianował p. Karola Skryptowicza. Był jeszcze i ten dodatek, że gdyby p. Zamecka wyszła powtórnie za mąż, zamiast dożywocia otrzymać miała sumę stutysięcy złr. w dodatku do tej, którą już miała zapisaną. Oprócz oryginału, który został u rejenta, kazał p. Tadeusz sporządzić dwie uwierzytelnione kopje tego testamentu, jedną dla siebie, a drugą dla p. Skryptowicza, który ją miał przechować. Sporządzenie tych kopij zajęło tyle czasu, że pobyt p. Tadeusza w mieście przeciągnął się nieco dłużej.

Nakoniec, nazajutrz rano, miano wyjeżdżać. Helence biło serce gwałtownie na myśl, kogo miała ujrzyć w Rymiszowie, i to samo serce ścisnęło się boleśnie wobec pierwszego po tylu latach rozstania się z tymi, do których przyłączyła sercem i którzy ją nawzajem tak kochali. Imi bardziej zbliżała się ta chwila, tem smutniej robiło się dziewczynie, i kto wie, czy nie byłaby nakoniec rzekła się ukrytej nadziei widzenia Waławę, gdyby jej była p. Skryptowiczowa nie powtarzała: „Jedź, jedź, Helenko, rozerwiesz się trochę, i wrócisz do nas weselsza.“ Dla antycypowania tej rozrywki, pani Skryptowiczowa wyprawiała panny cały dzień za temi tysiącami sprawunkami, z którymi połączony jest dla kobiet każdy przyjazd do miasta i każdy wyjazd z niego. Od półgodziny lampy świeciły się na ulicach, gdy dziewczęta wróciły do domu.

— Czy nie zapomnieliście kupić sody? zapytała p. Skryptowiczowa, krzątając się około herbaty, której w niektórych miejscach niepodobna przyrządzić bez dodania tej ingredjencji do wody.

— Kupiliśmy, odparła Frania. Ale nie uwierzy mama, jakeśmy się zmieszali, gdyśmy weszły do apteki.

— Dotychczas nie mogę przyjść do siebie, dodała Adelcia.

— Cóż takiego?

— Oto niech sobie mama wyobrazi, wchodzimy do apteki, i nie zastajemy w niej nikogo, oprócz jakiegoś pana, który obrócony był do nas plecami i wyjmował coś ze słoika w szafce. Byłam pewną, że to subjekt, i odzywam się: „Proszę pana, za parę centów, sody.“ W tem on obraca się, bardzo zmieszany, i widzimy, kogo? tego pana Alfreda Zgorzelskiego, co to, wie mama...

— I cóż dalej?

— Co? Nic. Chciałyśmy uciekać, ale p. Zgorzelski wyszedł do drugiego pokoju i zawołał subiekta, a sam nie pokazał się już więcej. Widocznie był zażenowany i skonfundowany okropnie, nawet pobladł.

— Nic to dziwnego po zajściu, które go tu spotkało. Musiałby mieć czoło miedziane, gdyby go nie zmieszał wasz widok.

— Pan Zgorzelski ma czoło miedziane, uważała Helenka. Radabym wiedzieć, co on robił w aptece i co wyjmował ze słoika, bez wiedzy aptekarza. Widziałam napis na słoiku, ale na nie szczęście nie umiem po łacinie i nie mogę go sobie przypomnieć.

— Wielkie rzeczy, łacina, odezwiała się Franja. Ja nie widziałam napisu, ale za to widziałam dokładnie, że to był cukier.

— Idźcie, idźcie, dzieci, nie powtarzajcie takich niedorzeczności, rzekła strofując pani Skryptowiczowa. Przy herbacie jednakowoż Helenka ni ztąd ni zowąd zapytała wuję, jak się cukier nazywa po łacinie. P. Skryptowicz był w żartobliwym usposobieniu, i odpowiedział zapytaniem, czy Helenka myśli, że jej snadniej dadzą cukru, gdy go zażąda po łacinie?

— Oczywiście, odparła.

— W takim razie pamiętaj, że cukier nazywa się *formosus juvenis*, i kiedy ks. Chyżycki będzie na herbacie u państwa Zameckich, proś go, ażeby ci dał „*formosum juvenem*“, a zobaczysz, że będzie ci słodko całe życie.

— Ej, tato podobnoś żartuje, zawołała Adelia, nie słuchaj, Helenko! Helenka ze swojej strony poważnie potrzęsała głową, na znak, że nie dowiedziała się tego, czego chciała. Wkrótce, wśród rozmowy o bliskim jej wyjeździe, zapomniała o tym drobnym szczególe, który zaprzął był jej umysł, a gdy po długim, długim szeptaniu z przybranymi siostrami usnęła na koniec, śniła jej się „bajka“, jak niegdyś u Pyłypychy. Była to jednak tym razem bajka niemila. Helenka widziała się na wsi, pod ową zrozpaczoną wierzbą nad potokiem, i zajechało dwóch panów karetą, których znała dobrze, p. Tadeusz i p. Karol. Gdy jednak wysiedli, znikli gdzieś bez śladu, a zamiast nich widziała przed sobą p. Alfreda Zgorzelskiego, który zapytywał ją w sposób niegrzecznie poufale, czy może jej towarzyszyć? Chciała uciekać, i jak to zwykle bywa we śnie, nie mogła. Wówczas p. Alfred poblał mocno, i trzymając w ręku słoik z łacińskim napisem, wyjmował z niego kawałek cukru, namawiając ją, aby szła z nim, a on ją odwiezie do *diłka*, który jest jej matką. Helenka spojrzała ku drodze — nie było już poczwórnej karety, był tylko wóz chłopski, na którym leżała trumna pokryta czarnym sukniem, zupełnie jak wówczas, gdy chowano starego Fedka, gospodarza ze wsi, w której mieszkał Pyłyp. P. Alfred ciągnął ją w tę stronę — musiała krzyknąć we śnie, bo w tej chwili p. Skryptowiczowa zbudziła ją pocałunkami i pieszczotami, domyśliwszy się, że ją trapią mary, o których nieraz opowiadała wieczorami. Helenka ocknęła się i usnęła już potem spokojnie, nic jej się nie śniło więcej.

Nazajutrz nie chłopski wóz z trumną, ale wagon pierwszej klasy stał przed peronem, i nie p. Alfred, ale p. Zamecki podał Helenie rękę, ażeby ją zaprowadzić do pociągu. Nie brakło wszakże i p. Alfreda, pojawił się o parę kroków dalej, z pakunkiem podróżnym w ręku, i uklonił się nisko p. Zameckiemu, który miał minę zakłopotaną tem spotkaniem, ale odklonił się grzecznie. P. Zamecki wiedział od Karola, w jakich

niewłaściwych najpierw, a niemiłych następnie warunkach p. Zgorzelski zapoznał się z Helenką — i wstydził się za niego. P. Alfred natomiast nie zdawał się zmieszany, i jeżeli nie zbliżał się i nie zaczynał rozmowy z p. Tadeuszem, czynił to widocznie dla tego, iż nie wypadało zatrzymywać choćby najlepszego znajomego, towarzyszącego nieznajomej damie. Taką tylko, a nie inną rezerwę wyrażała grzeczna i pewna siebie postawa p. Alfreda. W końcu wsiadł do wagonu drugiej klasy i nie widziano go więcej, zwłaszcza, gdy będąc sam i nie mając innego pakunku oprócz torby podróżnej, potrzebował na ostatniej stacji tylko wyskoczyć z wagonu i skoczyć na wózek, który go oczekiwał — p. Tadeusz zaś nie zastał swojego koczka i musiał dopiero posyłać do zamku po konie. Widocznie p. Zamecka albo nie otrzymała telegramu, który zapowiadał jej przyjazd męża, albo go nie zrozumiała. Upłynęło pół godziny, nim kocz zajechał na stację po p. Zameckiego i Helenkę — przy wyjeździe zaś w bramę ujrzeli wózek p. Zgorzelskiego, czekający na niego w dziedzińcu. Nie było go wszakże widać w zamku, pani Helena wyszła sama naprzeciw nowoprzybyłych na ganek. (C. d. n.)

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

XVII.

Przygotowania do dalszej wyprawy.

Pokój był już ustalony, mogłem się zatem oddać ostatecznym przygotowaniom do dalszej podróży. Panowie Higginbotham, Mac William i Jarvis z wielką energją zabrali się każdy do swojej czynności. Części parostatku przywiezione z Anglii, zostały podzielone, i większe poszły na wózki, które miały być ciągnięte przez krajowców, mniejsze zaś ułożone w paki, z których każda ważyła 50 funtów, były przeznaczone do przenoszenia na głowach.

Niechęć do ekspedycji pomału przycichała. Abou Saood, będąc jeszcze naocznym świadkiem powrotu okrętów do Khartum, ucieszony nadzieją wygranej, odpłynął już dawno do swoich stacji, wpływ więc jego bezpośredni na moją armję zaczął słabnąć. Oficerowie widząc, że nie mogą ująć swemu przeznaczeniu, musieli w końcu zgodzić się ze swoim losem, a pułkownik Raouf Bey, który wbrew wyraźnym rozkazom, tak dużo wysłał zdrowych ludzi, widział się teraz zmuszonym z małą stosunkowo siłą trzymać ważny punkt głównej stacji rządowej.

Nareszcie nadeszło wielkie mahometańskie święto *Ume el Ete* przypadające 14. grudnia, w którym to dniu wszyscy bogaci i ubodzy, mają się w nowe przyodzierać szaty. Byliśmy przeszło dwanaście miesięcy bez żadnej komunikacji z Khartum, i odzież mojej armji znajdowała się więcej jak w oplakanym stanie. Żołnierze rozpaczali; żołądek im zalegał, ubrania nie było, a w dodatku nadchodziło święto, w które zamiast oblec się w nowe suknie, mieli pozostać brudni i obdarci.

W tym stanie na wpół nagim brać ich w głąb kraju, gdzie mieli przedstawiać siłę rządową, było rzeczą niemożliwą; w samą więc wigilję święta zwołałem oficerów do moich magazynów, gdzie na szczęście znajdowało się wszystko, co było potrzebnem. W towary te zaopatrzyłem się w Anglii i nie miały one nic wspólnego z dostawą mundurów i innych artykułów, której spodziewałem się z Khartum. Dostawa ta z powodu niespławności rzeki stała się niemożliwą.

Rozdawszy z wymienionych magazynów ubranie dla całej armji, oddział 212 ludzi z oficerami, który miał mi towarzyszyć w głąb Afryki, umundurowałem odmiennie, w czerwone flanelowe bluzki i białe pantalone. Oficerowie dostali wszystko, co im było potrzebne, a ludzie na rachunek żołdu mogli zakupić rzeczy, jakich jeszcze pragnęli, ze składów rządowych.

W sam dzień święta pojechałem konno do głównej kwatery, aby odbyć przegląd wojska. Od samego świtu armaty wystrzałami obwieszczały uroczystość, a ludzie w nowych mundurach odprawiali paradę. Wszyscy byli w najlepszym humorze i kiedy do nich przemówiłem w krótkich słowach, wybuchli w głośnie okrzyki radości. Kobiety były również w nową przystrojone odzież i szczęśliwe w miarę większej obfitości żółtego i czerwonego koloru.

Od dnia tego ustaliła się pewna ufność w zasoby magazynów, które w razie, gdybyśmy całkiem nawet byli od Khartum odcięci, mogły podług wyobrażenia moich ludzi zaopatrywać nas bezustannie we wszystkie potrzeby.

W Gondokoro wszystko było w porządku; krajowcy nie pokazywali nieprzyjaźni, zapasy żywności były obfite, stacja dobrze ufortyfikowana, mogłem przeto bezpiecznie puścić się w dalszą wyprawę i przeprowadzić parostatek pod 3° 32' stopień północnej szerokości, gdzie złożony przez angielskich mechaników, miał być spuszczonej na wody Nilu po za ostatnią kataraktą, i otworzyć tym sposobem komunikację z jeziorem Albert Nyanza.

Wszystkie intryki i przeszkody stawiane ekspedycji zostały zniweczone, a chociaż zastęp mój był stosunkowo bardzo szczupły, ożywiało go jednak duch bezgranicznego zaufania do mnie i był gotów pójść, gdzie go tylko poprowadzę.

Koniec tomu pierwszego.

TOM II.

I.

Pochód w głąb Afryki.

Krytyka wojskowa z łatwością może potępić plan mojej wyprawy, a jednak uchwycenie się jego było tylko koniecznością, wynikającą z małej liczby żołnierzy. Kreśląc pierwotny plan ekspedycji, pociągnąłem linję stacji, odległych jedna od drugiej o trzy dni marszu, i w takim założeniu, miałem otwartą komunikację z Gondokoro. Na nieszczęście liczbę wymaganego żołnierza z samego początku uszczuplono mi o 350 ludzi, a z 1.200 przywiezionych na miejsce, miałem teraz tylko 500.

Po zostawieniu załogi w głównej stacji, miałem do rozporządzenia 212 ludzi, z którymi puszczałem się w podróż długą i niepewną, oddalając się od Gondokoro, bez możności komunikacji w razie nieprzewidzianych wypadków. A z tem wszystkiem nie mogłem zwlekać wyprawy, spuszczając się na bardzo niepewny zasi-

łek z Khartum, gdyż w tym czasie nadeszłyby była pora deszczy, grunt teraz suchy stałby się był błotnisty i transport ciężarów wozami niepodobny. Wyschłe prawie strumienie zamieniają się podczas deszczów w nieprzebyte kanały, a szczególnie rzeka Asua, która w mokrej porze wszelką przecina komunikację z południem, mogłaby nam bardzo wielkie stawić przeszkody.

Byłem dobrze świadom trudności mojej pozycji, lecz nie miałem innego wyboru.

Postanowiwszy zabrać z sobą, jak można największy zapas amunicji, wraz z transportem różnych towarów dla zaprowadzenia rzetelnego handlu na kość słoniową, powiedziałem sobie, że podczas gdy angielscy mechanicy będą zajęci budową parostatku w Ibrahimyah, pod 3° 32' stóp północ. szer. ja dalszą misję będę przeprowadzał w głąb kraju. W wyborze ludzi do tej ekspedycji byłem bardzo oględny, wyłączając wszystkich Egipcjan, oprócz moich wiernych przyjaciół i adiutantów: pułkownika Abd-el-Kadera i kapitana Mohamed Deii'ego. Służba nasza, składająca się z sześciu chłopców, kucharza i dziewcząt pod dozorem Karki, także nam towarzyszyła.

Wozy z częściami parostatku, zostały z całym ładunkiem ekspedycji przeniesione na pokłady sześciu okrętów, a stado złożone z kilku tysięcy sztuk bydła owiec i kóz miał przepędzić oddział 150 ludzi sześć mil na południe, do dobrze znanego skalistego wąwozu, gdzie naznaczyłem spotkanie. Wkrótce wszystko stanęło gotowe do podróży.

Co do robót w czasie mojej nieobecności, pozostawiłem pisemne instrukcje pułkownikowi Raouf Beyowi, p. Higginbotham, jako też p. Marcopolem tak, że każdy oddział był dobrze świadom czynności, jakiej się ma przez ten czas oddawać. Jednocześnie poleciłem pułkownikowi, żeby starał się powziąć wiadomości o Livingstone, i w razie gdyby tenże zjawiał się w Gondokoro, aby go zaopatrzył we wszystkie potrzeby; poczem 22. stycznia 1872 r. wypłynąłem, aby prowadzić dalej dzieło cywilizacyjne. Raz jeszcze uściskawszy mego przyjaciela p. Edwina Higginbotham, wstąpiłem na pokład okrętu i w krótko znikła nam z oczów nasza tymczasowa ojczyzna.

Wiatr był dość silny, lecz gęste mielizny zaścielenie koryto rzeki utrudniały żeglugę i często cała załoga, ożywiona najlepszym humorem, musiała wskakując do wody, ciągnąć statki na głębszy kanał. Przyłączając się do tego zajęcia, kobiety, dzieci i żołnierze z wesołymi śmiechami pluskali się w wodzie, ciągnąc liny; byłem prawie ucieszony widokiem tych wszystkich ludzi, biorących się rażno do dzieła i z weselem spoglądających w przyszłość. Nie miałem z sobą fanatyków, a czarnej rasy oficerowie odsunięci od podszeptów złowrogich ptaków głównego obozu, byli teraz najlepszym ożywieni duchem. Niestety, radość tę przyćmił smutny wypadek. Ali Nedjar, najszybszy biegacz mego pułku „Czterdziestu“, w pośród śmiechów i wrzawy ochoczo z innemi dzieląc zabawę, nierozważnie zapuścił się na głębie, a nieumiejąc pływać, utonął. Wszelki ratunek i poszukiwania ciała były daremne. Strata tak nagła ulubieńca żołnierzy i kobiet, gdyż Ali przez wszystkich był kochany, okryła żalobą niedawno śmiejące się twarze; kobiety głośno łkały, a żołnierze w milczeniu, odmawiając pożywienia, smutno spędzili godziny wieczorne.

Po czterech dniach podróży, wszystkie okręty zgromadziły się w ślicznie położonym miejscu

u podnóża Katarakty pod 4° 38' stop pół. szer. Z dwóch stron wznoszące się góry, okryte wieczną zielonością drzew, których korzenie nasyczone wilgocią wydają zawsze świeży i piękny liść, uroczy tworzyły widok; gdzie niegdzie odbijając od bujnej roślinności wystawała skalista ściana nagich głazów, zbiegając w dziwacznych odłamach do stóp zapienionej rzeki.

Nie mieliśmy jeszcze czasu nasycić się wspaniałym krajobrazem, gdy przyjaciel nasz, szejek Bedden, powitał nas ze swymi ludźmi, i wstępując na pokład mego okrętu oświadczył gotowość dostarczenia nam ludzi, do przeniesienia i przewiezienia ładunków, gdziekolwiek zechcemy. Zaproponowałem mu, by doprowadzili nas aż do Loboré, miejsca o sześćdziesiąt mil odległego, którego ludność bardzo przyjazna, wszelkiej udzieli nam pomocy. Bedden zdawał się zupełnie gotów.

Chcąc być bardzo uprzejmym dla szejka, ułożyłem się z nim, że opieka cała nad transportem jemu zostanie powierzona i on, jako mój wakil (naczelnik), będzie przedstawiał władzę rządową. Jednocześnie udarowałem go wspaniałą odzieżą purpurową ze srebrem, blaszannym hełmem, niebieskim turbanem, i wielką ilością różnokolorowych paciorków, przyobiecując równocześnie połowę mego stada, jeżeli mi przeprowadzi moje pakunki i wozy do Loboré. Po tych układach rozstaliśmy się z szejkiem, który powrócił do wsi dalsze robić przygotowania. Było jednak coś w jego ruchach i zachowaniu się, co, gdy odszedł obudziło we mnie podejrzenie. Moja żona, która w znajomości dzikich równie memu miała doświadczenie, podzielała moje zdanie z powodu, że między znaczną liczbą krajowców, którzy przyszli oglądać nasze okręty, nie znajdowała się ani jedna kobieta, ani jedno dziecko. Gdyby mieszkańcy byli szczerzy w swych zamiarach, niewiasty ich nieomieszkalyby były nas odwiedzić dla samej ciekawości; ta ich nieobecność jest zawsze oznaką złych zamiarów. Bydło także się nigdzie nie ukazywało, a kilka oborników znajdujących się w promieniu pół milowym stały całkiem puste; poszedłem niby z ciekawości je obejrzeć, i zauważałem świeże ślady, co mnie upewniło, że stado zostało niedawno gdzieś dalej zagnane.

Cała moja znajomość plemienia Bari ponownie mnie przekonała, że dobrocią nikt z nimi nie dojdzie do końca, póki siłą oręża nie da im się czuć ich niższość. Mieszkańcy Bedden nie od nas nie ucierpieli, a że obiecali nam pomoc, obietnice tych ludzi znaczą tyle co powiew wiatru. Wszystkie moje troski zaciemniły znowu ledwie rozwidniony horyzont, lecz nie dając poznać rodzących się podejrzeń, kazałem okrętom podpłynąć do wschodniego brzegu rzeki i robić przygotowania, do wyładowania wozów i ciężkich towarów.

Na drugi dzień rano przybył szejek ze znaczną liczbą swych ludzi, i zaproszony, wszedł do namiotu rozpostartego na jego przyjęcie. Zaraz u wstępu zostałem uderzony zmianą w jego zachowaniu, a po krótkiej rozmowie wystąpił z zapytaniem, czemu kazałem okrętom przepłynąć na wschodni brzeg. Wyłożyłem mu tedy, że tam wyładują towary i będą robić przygotowania do podróży.

— A któż będzie wam niósł wasze ładunki? — odparł Bedden, jak gdyby nigdy nie między nami nie było umówione. Byłem kompletnie zbity z tonu tem pytaniem, rzuconem ze

stoiczną zimną krwią. Podejrzenia moje sprawdziły się niestety, i mimo wszelkich perswazyj nie odebrałem innej odpowiedzi jak tę, że ludzie jego się rozmyślili, gdyż nie będąc nigdy przedtem używani do noszenia bagaży „Turkom“, dziś także nie ich do tego nie zmusi.

(C. d. n.)

POGADANKI.

XXXIII.

Nasi „mistrze pióra“ zaczęli już Bogu dzięki przejeżdżać się w Tatry, i z tej strony przynajmniej opisywać kraj rodzinny, zamiast siedzieć w Złoczowie lub w Barszczowicach i objaśniać zdumionemu narodowi galicyjskiemu cuda, które można widzieć we Włoszech. Inni wolą, wpatrzwszy się w zwierciadło, opiewać zachwyty, których doznają, przyglądawszy się swojemu ukochanemu „ja“ — co też najlepiej popłacać zwykło u plci pięknej, skłonnej do wiary w beżmienną potęgę tych niezbadanych prądów, któremi szuka sobie ujścia samopoczucie się duszy męskiej a tkliwej. Mało jednak dotychczas rozglądamy się naokoło siebie, chyba że zaznaczymy chwalebny a nie dawny przykład, iż jeden z większych naszych genjuszów spojrzawszy po za ramę swojego zwierciadła, spostrzegł drugiego, także większego, i opisał go gruntownie od stóp do głowy wielkim stylem a dość drobnym drukiem. Szkoda wszakże, iż kończy się na tem, zważywszy, iż wyglądawszy bodaj poza rogatkę, można znaleźć niejedną rzecz, godną kropli atramentu, a nie tak znowu niebotycznie wysoką i pospółstwu intelektualnemu niezrozumiałą, jak natchniona dusza poety.

Nie pamiętam już, w którym piśmie, zdarzyło mi się temi dniami czytać taką rzecz pospolitą, a przecież ciekawą. Był to opis Borysławia, pobieżny wprawdzie, i cokolwiek osnuty na uczonem sprawozdaniu, spoczywającym w aktach jakiegoś stowarzyszenia, ale pomimo to zasługujący na uwagę choćby dla kilku dat, które tam są powtórzone. Każdy wie, że w ziemi „wódka i nafta płynące“, Lwów konsumuje największą ilość wysoku, a Borysław produkuje najwięcej oleju i wosku skalnego. Każdy wyobraża sobie mniej więcej, jak może wyglądać nie wielka przestrzeń, na której osiedlili się przedsiębiorcy na kształt stada ptaków drapieżnych, i którą podziurawiono co kilka kroków, szukając głęboko w łonie chlebobdajnej niegdyś macierzy, tych światłodawczych skarbów, których cetnar można za tańsze pieniądze przywieźć z Nowego Yorku do Krakowa, niż z Drohobyczy do Lwowa. Wyobrażenie takie powziąć można, chociażby się przed kilku laty widziało na tutejszej wystawie obrazów rysunek Tepy, według którego jedyną osobliwością Borysławia byłoby, iż fałdy pewnej części ubrania męskiego układają się tam wbrew wszelkim prawdom ciężkości i wszelkim zdobyczom wiedzy anatomicznej. Kreda swoją drogą, a nafta swoją, i każda, choćby najuboższa wyobraźnia uzupełni sobie z łatwością brak ruchu i życia na wspomnianym kawałku papieru, obrazem tego, co się może i musi dziać w Borysławiu, przezwanym Kalifornją galicyjską. Czego wszakże nie dokaże żadna wyobraźnia, to zestawienia cyfr autentycznych, jak się przedsiębiorcy dzielą na

chrześcijan i na żydów, i jak się potem oczywiście dzielą zyskami z tej Kalifornji.

Oto jest 852 przedsiębiorców żydów, a 2 (pisze: dwóch) chrześcijan. Między żydami jest 73 zamożnych, a 779 „samych biedaków“. Dziennik, z którego wyjmuję te cyfry, zarzuca żydom goniienie za zyskiem bez pracy, przy tej sposobności wszakże sprawozdawca jego mówi: „Nigdzie też nie widziałem ludzi ciężiej pracujących, jak w Boryslawiu, a mianowicie żydów, którzy nieraz z kilofem i motyką do szybu się wpuszczają i roboty górnicze wykonują.“

Przebrzydłe żydy! Z kilkoma guldenami w kieszeni, z kilofem i motyką w rękę, idą pracować ciężko. A przecież to jest ziemia nasza, chrześcijańska, nie żydowska, i obowiązkiem jej jest nam a nie żydom oddawać swoje skarby, i to nie po napomnieniu kilofem i motyką, ale po inwokacji Boga ojców naszych, i po wzajemnem między nami przyznaniu się, żeśmy tędzy, wielcy niezrównani, i że zbawimy kiedyś siebie i świat naszym duchem. Wszak to my naród rycerski i rolny, i jako Słowianie, o całych pięćset lat wcześniej przybyliśmy tutaj od hebrejczyków — jakimże prawem oni grzebią w tej ziemi i wydobywają z niej majątki? I proszę państwa, dla czego jaka cesarsko-królewska, carska albo królewska ustawa nie zakazuje żydom, ażeby ich się gromadziło 852 w Boryslawiu, na naszych 2 przedsiębiorców? My przecież mając do spełnienia misję, o której pisze p. Giller i dr. Żuliński, nie możemy myśleć o tem, jakby rywalizować z żydami, ale od czegoż tolerujemy istnienie policji, jeżeli nie rozpędza żydów i nie zakazuje im kopać nafty? No, bo jak się rozniewamy!...

W istocie, im głębiej zastanawiam się nad tem, tem bardziej przekonuję się, iż jedynie mocarstwa ościenne winne są, jeżeli nas gniecie przewaga ekonomiczna żydów. Czemu ich nie każą wsadzić na okręt i wywieść do Palestyny? My przecież nie kramarze, jak Anglicy, ani śledzie, jak Holendry, byśmy z guldenami, kilofami i motykami szli do Boryslawia i rugowali ztamtąd żydów przedsiębiorczością, rzutkością i pracą! Dali pan, płakać się chce, gdy się człowiek nad tem zastanowi, że żydzi mają o tyle więcej pieniędzy od nas, i że nikt im tego nie zakazuje!

Ot, ponieważ już raz dotknęliśmy statystyki, posłuchajmy, co mówią inne daty, tym razem urzędowe, moskiewskie. Rząd petersburski, jakby do bieguna północnego, wyprawił przed trzema laty „ekspedycję etnograficzno-statystyczną w jugo-zapadny kraj“, tj. w kraje Zabrane, Wołyn, Podole i Ukrainę. Ekspedycja ta składała się z p. Czubińskiego, który obecnie ogłosił już siódmy tom sprawozdania swojego z tego, co widział i zbadał. Tom ten nosi tytuł: „Żydzi i Polacy w j. z. kraju“ i zawiera niezmiernie ciekawe rzeczy, z którymi *Żydzie* nie omieszka obznajomić czytelników swoich. Na razie zapisuję tylko, iż według p. Czubińskiego ludność Zabranych krajów wynosi 5,795,750 dusz między którymi żydzi stanowią 1 $\frac{3}{10}$ % a Polacy 1 $\frac{3}{10}$ % — (co okazuje się nieprawdą, zważywszy, iż rodziny samych polskich właścicieli dóbr, czyli szlachty, liczyć mają dusz 167,336.) Otóż pomimo tej małej liczby, Moskale przyznają, iż Polacy i żydzi stanowią w tych krajach żywioł cywilizacyjny, i materialnie przeważny — Polacy składają arystokrację, żydzi „burżoazję“. Własność ziemi i w ogóle zamożność tak się dzieli w trzech wspomnianych krajach:

Polacy mają 6.000 majątków 6,000.000 de-

siatyn ziemi, 180.000.000 rubli wartości, 30 milionów rubli dochodu rocznego.

Moskale 1.000 majątków, 1,500.000 desiatyn ziemi, 45 milionów rs. wartości, 7 $\frac{1}{2}$ miliona dochodu rocznego.

Chłopi 700.000 majątków, 4 miliony desiatyn, x wartości, x dochodu.

Żydzi — nic majątków, nic desiatyn, ? wartości, 36 milionów dochodu rocznego. Moskal twierdzi, że powodem tego bogactwa i znacznej mnogości żydów są dawniejsze instytucje polskie, które obdarzały żydów przywilejami i swobodami podczas gdy „duch ruski“ przetrzebiał ich od czasu do czasu, za Włodzimierza Monomacha, za Chmielnickiego, za Gonty itd. Ztąd konkluzja, że należy puścić wodze i nadal „duchowi ruskiemu“, bo równouprawnienie nie wiele warto, tam gdzie w ogóle nie ma uprawnienia.

Ja nie śmiem wyciągać z dat powyższych żadnej konkluzji podobnej ani przeciwnej, pozwolę sobie tylko skonstatować dwie rzeczy.

Po pierwsze, że w wieku materialistycznym, decyduje przewaga materialna.

Po drugie, że gdyby zliczyć Moskale i włościan w Zabranym kraju, i gdyby według przypuszczeń p. Czubińskiego obliczyć roczny dochód włościan, dwa te żywioły razem mają rocznego przychodu razem 27 $\frac{1}{2}$ miliona rubli.

Polacy i żydzi razem mają 66 milionów rubli przychodu rocznego.

Otóż kto wie, czy 66 milionami nie można by dać rady 27 milionom, gdybyśmy próbowali kwestję żydowską załatwić przez dodawanie za pomocą tego *plus*, jakim jest rozum, a nie przez odejmowanie za pomocą tego *minus*, jakim są nasze lamenta na ekonomiczną ruchliwość żydów.

Oto widzicie państwo, do jakich aberracji prowadzi statystyka, ta broń pozytywistów! An się spostrzegłem, jak daleko odwiodła mnie od założenia pierwotnego. Nie będę już, nie będę — spale wszystkie książki traktujące o tej materialistycznej nauce, i od jutra zaczynam uczyć się teologii, jakoteż szukać jakiego nieznanego jeszcze wielkiego wieszca, o którym można by napisać studjum w *Tygodniu*. Jeżeliby kto tymczasem odkrył takie indywiduum, niechaj mi raczy dać znać o niem za pośrednictwem karty korespondencyjnej.

Jan Lam.

Rozwój w przyrodzie i w dziejach

przez

LUDWIKA WIERZEJSKIEGO.

Spostrzegając choćby tylko pobieżnie objawy przyrody i życia ludzkości widzimy iż zachodzi różnica między stanem istnienia materji i tworów ustrojowych w danej jakiejś jednostce czasu a innej poprzedzającej lub następującej. Widzimy dalej, że te różnice czyli zmiany stanu istnienia nie następują po sobie nieregularnie, bez systemu, lecz że mają pewien stały kierunek, który w dziejach przyrody nieustrojowej polega na wyosobnianiu się mas kosmicznych, w dziejach utworów ustrojowych zaś na stopniowym pojawianiu się coraz doskonalszych istot. Ten stały kierunek w którym zmiany w przyrodzie się odbywają, nazywamy rozwojem albo postępem.

Przyroda przetwarzająca się w tym kierunku daje nam spostrzedz 3 główne okresy; mianowicie najprzód okres kozmiczny t. j. okres wytwarzania się pojedynczych ciał niebieskich,

następnie okres rozwoju życia roślinnego i zwierzęcego na naszej planecie czyli okres biologiczny, nareszcie okres życia ludzkości czyli okres antropologiczny, który w późniejszych swych fazach nazywamy okresem historycznym.

W rozprawie naszej zastanowimy się najprzód nad tem, czyli te 3 okresy istnieją obok siebie jedynie w następstwie chronologicznem, lub czy też jest między nimi związek wewnętrzny, polegający na tożsamości sił w nich działających i ustaw czyli prawideł, według których te siły działają, następnie czyli w całym tym procesie uniwersalnym, obejmującym wszystkie 3 okresy, tkwi jakaś myśl, a jeżeli tkwi, jaka jest treść tej myśli.

Astronomowie twierdzą jednomyślnie, że materia, z której się teraz wszystkie ciała niebieskie składają, była pierwotkowo w stanie lotnym i tworzyła ogromną kulę, obejmującą całą tę przestrzeń, w której się obecnie te ciała poruszają. Ta mgławica obracała się z początku bardzo pomalutką, później jednak obrót jej przyspieszonym został. Podług znanego bowiem prawidła mechaniki, każda materialna cząstka wolna musi się poruszać w ten sposób, że jej promień wiadący przebiega równe przestrzenie w równych czasach, z czego wynika, że gdy się promień w skutek stopniowego zgęszczania masy przez działanie siły dośrodkowej, zmniejsza, to łuk opisany w pewnej jednostce czasu musi się zwiększać tak, aby przestrzeń którą przebiega pozostała niezmienną. Z tego wzrostu szybkości wynikło powiększenie siły odśrodkowej i mocne splaszczanie się mgławicy a gdy siła odśrodkowa ciągle się powiększając wyrównała sile ciężenia, wydzieliły się w okolicy równika pierścienie, uwiły wolno i zaczęły krążyć na około masy środkowej, która napowrót przybrała postać kuli. Szybkość obrotowa zwiększała się dalej, przez co pierścienie się poprzerywały a materia składająca każdy pierścień, podlegając osobno prawidłu ciężenia, spłynęła się w odrębną kulę, która każda stała się punktem środkowym działań podobnych jak te, jakie się w głównej masie odbywały. Z tych kul więc wydzielały się pierścienie drugiego rzędu, z których kilka pozostało aż do naszych czasów, gdy tymczasem inne rozpekły się i przetworzyły się na satelity.

Teorja ta utworzona przez Kanta, Wilhelma Herschla i Laplace'a została potwierdzoną eksperymentalnie przez prof. Plateau w Genewie w następujący sposób. Wielka kropla oliwy wpuszczoną została do naczynia napelnionego mieszaniną wysoku i wody, w którym to płynie mającym tę samą gęstość jak oliwa, ta ostatnia ani nie spadła na dno jakby to w czystym wysoku, ani też nie pływała na powierzchni jakby to we wodzie się stało, lecz zawisała w środku płynu a podlegając wtenczas jedynie siłom molekularnym, przybrała postać kuli. Przez środek tej kuli przesunięto cienki drut na którym znajdował się mały guzik, który zajął miejsce w samym środku kuli. Drut ten wprowadzony został przyrządem zegarowym w obrót o szybkości wzrastającej, w skutek czego kula oliwna splaszczyla się mocno na biegunach, później wydzielił się z niej pierścień, który krążył około kuli podobnie jak pierścienie Saturna krążą około niego; nareszcie przy coraz większej szybkości obrotowej pierścień pękł i utworzyły się z niego małe kulki, które obracając się około swych osi, krążyły około środkowej masy oliwnej.

Materia z której się pierwiastkowa mgławica składała była w stanie rozrzedzenia daleko większego niżeli ten do jakiego zdolamy doprowadzić powietrze przez najlepsze maszyny pneumatyczne; skurczyła się ona niezmiernie, zostawiając w różnych odległościach gwiazdy stałe, planety i satelity. W świetle gwiazdowym znajdujemy ślady tego tworzenia się; w naszym układzie planetarnym są niemi pierścienie Saturna, po za obrębem tego układu zaś są niemi mgławice spiralne i pierścieniowe. Te masy składające się z materji będącej jeszcze w stanie lotnym, zdają się być światłami dopiero się tworzącymi.

Kepler był pierwszym, który odkrył pewną prawidłowość w rozkładzie planet; jednakowoż znajdowała się luka między Marsem a Jowiszem, z czego Kepler wnosił, że w tej okolicy jest planeta, która później odkrytą zostanie. Po dwóch wiekach prawie sprawdziła się przepowiednia Keplera, z tą tylko różnicą, że zamiast jednej planety odkryto dotychczas między Marsem a Jowiszem 147 małych planet, którą to liczbą ilość asteroid pewnie nie jest jeszcze wyczerpnięta. Wszystkie te drobne planety jednak zastępują miejsce tylko jednej planety, której masa podług obliczeń Leveriera równą jest trzeciej części masy ziemi.

Po Keplerze odkrył Titus dokładniejsze prawo dotyczące stosunku odległości planet od słońca, które to prawo zawarte jest we formule: $D=4+3 \times 2^{n-1}$, gdzie D oznacza odległość planety od słońca, a n liczbę porządkową tej planety poczynając od Wenus. (C. d. n.)

STANOWISKO FILOZOFJI

KAROLA LIBELTA,

i stosunek jego do innych współczesnych
filozofów polskich.

Napisał

DR. A. MOLICKI.

(Dokończenie.)

Libelt wyjaśniając charakter potęgi twórczej, objawiającej się w człowieku, tj. charakter wyobraźni — powiada — że ludzkość zdobywa sobie pewne idee, które rozwija, a których pełnia wiedzy jest w Bogu. Idea taka, jako objaw ducha nieskończonego, jest także nieskończoną. „Wyraz jej zewnętrzny, tak jak się w czasie przez, jednostkowego ducha pojawia“ (tj. przez człowieka) „nie może się przeobrażać, ale się rozwija i rozbudza. Utrwalenie form zewnętrznych tych idei, czyli ich upostaciowanie się w świecie społecznym i ludzkim, jest zatem koniecznością z samej zewnętrznej natury idei płynącą. Rozwój tych form odbywa się przez całą ludzkość, przez narody. Potęga wyobraźni jednostkowych duchów (tj. człowieka) wyprowadza je do bytu, „a w wyobraźni całego narodu, nabierają trwałości i siły żywotnych“).

Któż teraz nie widzi tutaj owego pierwiastka polskiej filozofji, który — według Libelta — nie tylko w wyobraźni Polaków, ale i wszystkich Słowian, nabrał trwałości i siły żywotnych? — który jako taki został uznany przezeń za najsilniejszą podstawę dla filozofji, jako rozwiązująca od razu najważniejsze, dotychczas traktowane bez skutku, kwestje osobowości Boga i nieśmiertelności duszy? Zbytecznem, sądzę, byłoby je-

szcze więcej o tem mówić. Skoro zaś tak jest, to nie można zarzutu robić Libeltowi, jakoby on ni ztąd ni zowąd powiedział sobie, że wyobraźnia doprowadzi nas do poznania rzeczy — albo, że Libelt wcale się nie zajmuje rozbiorem wyobraźni. Uzasadnił to on uprzednio w „Filozofji i Krytyce“ — nie miał więc potrzeby tego samego w „Systemie Umniactwa“ powtarzać. Co najwięcej możnaby mu zrobić zarzut, że otwarcie nie wykazał łączności Filozofji i Krytyki z Systemem Umniactwa, albo identyczności zasady wyobraźni z owym pierwiastkiem ludowym, przez co jakby się tait z istotnem swoim stanowiskiem.

To co powiedziałem, lepiej jeszcze każdy z was zrozumie, gdy przeczyta „System Umniactwa“, rozwijany w ten sposób, aby we wszystkich trzech częściach (o naturze, człowieku i Bogu) wykazać wpływ owej potęgi twórczej, owej wyobraźni a pierwiastku ludowego. Ciągłe przytaczane przykłady na rozwój ducha, mają właśnie ten cel, aby wykazać potęgę twórczości we wszystkich jej fazach. Ramy naszej rozprawy nie pozwalają się nad tem rozwodzić — przedstawiliśmy też tylko co ważniejsze, co głównie służy do zrozumienia całej filozofji Libelta, a bez czego krytyka, jak nie miała dotąd, tak i nie miałaby na przyszłość odpowiedniej podstawy.

Należy też przyznać, że Libelt bardzo konsekwentnie przeprowadził swoją zasadę, poczynając od „Filozofji i Krytyki“ aż do „Filozofji Umysłowej“ i „Umniactwa Pięknego“). Jeden i ten sam pierwiastek; ciągle jedna tendencja. A choć filozofji woli, jako ostatniej części — jak żali się w Przedmowie do drugiego wydania — okoliczności nie dozwoliły mu napisać, przecież — mówi — pociesza się nadzieją, że znajdą się młodszy, co podejmą dalej i rozwiną myśl filozofji słowiańskiej**). I to więc potwierdza nasz pogląd na stanowisko filozofji słowiańskiej. Jakoż istotnie można go nazwać prawdziwym i jedynym filozofem słowiańskim. Jego gorąca miłość ojczyzny; jego szeroki pogląd na jej przyszłość — zachowują go zawsze w wdzięcznej pamięci rodaków!

Inna jednak rzecz, czy filozofja na takiej zasadzie oparta odpowiada umiętym warunkom rozwoju i istocie uniwersalnej nauki. Przy dzisiejszym postępie filozofji, polemika w tym względzie, zdaje mi się, byłaby więcej niż zbyteczną. Dla tego też, aby krótko rzecz zakończyć, powiem, iż najzupełniej co do tego podzielam powyżej przytoczone zdanie Dr. Kremiera tj. że filozofja tylko wtedy mogłaby być narodową, gdyby mogła istnieć matematyka narodowa. To bowiem, co Libelt nazywa intensywnością, i na czem opiera podstawę narodowości, to tylko koloryt nauki lub dzieła, niezmienny istoty praw na których spoczywają, jak np. odmienny koloryt w powieściach francuskich, niemieckich, lub polskich nie zmienia praw cnoty i dobra, które są ich celem i niewidzialnym przedmiotem. A że takimi i innymi prawami zajmuje się filozofja, i przedmiot swej treści szczegółowej na nich opiera — mimo więc różnego kolorytu narodowego, nie może być narodową, jak nie są niemi prawa matematyczne. Że zaś filozofja grecka nie przyjęła

się u Rzymian, a niemiecka w szczepie romańskim i słowiańskim — jak słusznie zauważył Libelt — to jednak nie z przyczyny, jak mniemał, odmiennego pierwiastka filozoficznego czyli rdzennego przedmiotu filozofji, ale kolorytu, który jej nadano. On sam bowiem (tj. ten rdzenny przedmiot filozofji), nie przestał zajmować tak szczepu romańskiego, jak słowiańskiego. I tylko gdyby tak było, racja byłaby po stronie Libelta. Ponieważ jednak tak nie jest, to dowodzi tylko, że Libelt pomieszał te pojęcia, a przez to i doszedł do fałszywego rezultatu. Jakoż filozofja w ogóle jest umiejętnością uniwersalną, ludzką, jak uniwersalną jest matematyka, bo cała treść jej spoczywa in potentia w duchu każdego człowieka, a więc i całej ludzkości, nie zaś tylko jednego narodu. A choć in actu nie wszędzie w rozwoju swoim objawia się jednakowo, ulegając pod względem formy wpływom miejscowym — to jednak co do treści, nigdy nie przestaje być tem, czem była i będzie na zawsze.

Jan Chrystjan Andersen.

Wiadomość o śmierci Andersena przebiegła lotem strzały całą Europę i obudziła powszechny żal u zwolenników i znawców literatury nadobnej. Nie od rzeczy więc będzie przypomnieć sobie niektóre szczegóły z jego różnobarwnego życia, i zaznaczyć w krótkości stanowisko, jakie jego dzieła w literaturze europejskiej zajmują.

Andersen urodził się r. 1805 na wysepce duńskiej Fünen; ojciec jego był krawcem, matka praczką. Wiek dziecięcy przepędził bez troski: był to skarb, którym się potem dzielił z innymi dziećmi. Ojciec jego, człowiek dzielny, światły, ale nieco burzliwy, zapoznał go wcześniej z komedjami Holberga i „Tysiącem i jedną nocą.“ Oba te dzieła, z których pierwsze jest dziećciem północnego realizmu, a drugie fantazji wschodniej wpłynęły na wrażliwy umysł chłopca. Pierwszem wrażeniem, jakie mały Andersen, będąc pierwszy raz w teatrze, odniósł z widoku takiej masy zgromadzonych w jednej sali ludzi, było tego rodzaju, że nie pozwalało w nim widzieć przyszłego poety; na widok zgromadzonej publiczności zawołał: „Żebyśmy mieli tyle fasek masła, ilu tu jest ludzi, toby można się dopiero najeść!“ Teatr jednak bardzo mu się podobał, i chłopak zaledwie umięjący czytać i pisać zaczął komponować rozmaite sztuki sceniczne, w których kazał mówić występującym królom językiem zupełnie niezrozumiałym. Współucznie nazywali go iroicznie „pisarzem komedij.“ Andersenowi nie było przeznaczone, aby na tem polu piśmiennictwa mógł coś znakomitego stworzyć, pisał on dosyć dzieł scenicznych, ale żadne z nich nie wzniosło się po nad mierność, nie miał bowiem wielkich pomysłów i nie umiał obiektywnie rysować charakterów. Nie lepiej mu się powodziło i w pisaniu romansów, w których brak psychologicznej prawdy. Właściwe pole jego talentu leżało gdzieindziej, a odszukał je dopiero po tych bezowocnych próbach.

Andersen stracił wcześniej ojca. Widząc ciężką pracę i troski matki, chcąc przyjść jej w pomoc, wstąpił jako robotnik do fabryki płótna, ale pośmiewiska i złośliwość kolegów wypędziły zamtąd rychło słabego, poetycznego chłopca. Radzono mu potem, aby poszedł na naukę do krawca: wahał się, ale myśl, że nauczywszy się

*) Libelt: tamże T. I. str. 46.

*) Miejsce nie pozwoliło mi zająć się więcej „Estetyką, z której tylko niektóre poglądy filozoficzne zacytowałem wyżej. Praca ta znana z swej pięknej formy, czystości i bogactwa języka, pod względem treści jest przerobioną z Vischera i innych niemieckich estetyków.

**) Libelt: „Filozofja i Krytyka“ 1874 str. XX—XXI.

żyć, będzie mógł pięknie ukostumować lalki w swoim teatrzyku, spowodowała go, że usłuchał. Były to jednak tylko próżne próby. Poezja za- nadto głęboko wpila się w umysł jego, aby mógł zostać rzemieślnikiem. Prababka jego, bogata i dostojna dama w Kassel, uciekła w swoim czasie z pewnym aktorem, a ojciec jego, gdy Chrystjan już był sporym chłopcem, porzucił dom i wstąpił w Napoleońskie szeregi. Zamiłowanie teatru i pociąg do podróżowania były już w krwi Andersena. Mając trochę pieniędzy, wsiadł na okręt i pożeglował do Kopenhagi. Próbował wszystkiego: chciał być śpiewakiem, wstąpił do szkoły baletu, próbował dramatycznego talentu, ale nie jakoś mu się nie udawało. Aktorem być nie mógł, już z powodu swej niezgrabnej, długiej a suchej figury i braku wszelkiego wykształcenia. „Jeżeli chcesz być czemś, musisz się koniecznie uczyć“, radzili mu wszyscy. Czuł on to sam dobrze i w krótkim czasie obzajomiał się dosyć z łaciną. Nigdy się nie stał z niego człowiek nauki, ale doszedł przynajmniej do tego, że wiedział, z kąd światło płynie. Już w czasie kariery literackiej podchwytywano go często na niezna- jomości języka i gramatyki. Jak pan piszesz słowo „pies“ — pytano go — raz wielką, to znów małą literą? Tym razem pisałem małą literą — odpowiedział — ponieważ o małym psie myślałem. Zabrał się do filozofii Hegla, ale nie mógł wiele zrozumieć. Ciągłe mu zarzucano brak podstaw naukowych. Mimo to jednak, pisma jego podobały się i wkrótce otrzymał stypendjum od króla. Odtąd zaczął podróżować, co u niego stało się wkrótce potrzebą: nie podróżował w celu zbiera- nia materiałów, tylko dla tego, że jak mawiał, podróżowanie utrzymuje jego ducha w świeżości. Zwidził Niemcy, Francję, Włochy, Anglię, Hisz- panję, Grecję i dotarł aż do mniejszej Azji. Podróż- zował jak dziecko, bez głębszej myśli i celu; chciał jak najwięcej widzieć, aby mógł wszystko potem opowiadać. Poezja i wędrówka, oto całe jego życie. Jak się temu wędrownemu poecie przed- stawiało własne jego życie? On sam nam mówi: „Moje życie“, pisze w swojej autobjografii, „jest piękną bajką, tak jest bogate i piękne. Gdyby mię gdym był dzieckiem, spotkała jaka rusalka — i rzekła: „Wybierz sobie drogę życia najodpo- wiedniejszą twemu umysłowi“, wybrałbym był pewnie taką, po której rzeczywiście szedłem.“ Dalej znowu mówi: „Życie moje leży przedemną jak piękna bajka, jakiejbym napisać nie potrafił. Czuję, że jestem dzieckiem szczęścia; prawie wszyscy kochają mię, rzadko się na kim zawio- dłem. Rozkoszą jest żyć, wierzyć w Boga i ludzi. Gwiazda szczęścia świeci nademną, wielu zasłu- żyło na nią więcej, niżli ja; często sam nie mogę pojąć, z kąd tyle przyjemności i radości dostaje mi się w udziale; niech ta gwiazda świeci!“ Czy- tając to trzeba się dziwić, że był człowiek tak zadowolony z siebie, że głośno mógł przed ludźmi i Bogiem oświadczać, że mu niczego nie brakuje. Kto posiada tak różowe zapatrywanie na świat i dla kogo własne życie przedstawia się jako gadka, ten jest stworzonym na opowiadacza ga- dek, bo dzieci są pełne optymizmu i mają talent być szczęśliwymi. Nie znając jego nazwiska, dzieci natychmiast poznały, że Andersen jest ich naj- lepszym druhem niejako starszym bratem. Wniknął on w tajniki dziecięcego ducha i przejął się spo- sobem opowiadania dzieci. Pisze naprzykład: „W Chinach, jak wiesz, jest Chińczyk cesarzem, a wszyscy, którzy są około niego, to same Chiń- czyki“ Humor jego jest naiwny i dziecięcy, skoro

opowiada o kolnierzyku „że był tak stary, iż mu się nareszcie żenić zachciało“, albo o pewnym domu, „który był tak słaby, że nie wiedział na którą stronę miał upaść, i dla tego stał ciągle.“ Nie trzeba jednak sądzić, że te jego gadki są bez sensu, owszem dziwić się należy, ile głębo- kich prawd w nich wypowiedział. Wszystko to jest ze świata dziecięcego i dla dzieci. Czytając Andersena, jest się pośród dzieci. Świat cały dla niego jest żywym: wszystkie martwe przedmioty myślą, czują i poruszają się: pióro się uskarża, że się niem za dużo pisze, szklanka uśmiecha się i szczebiocze, gdy jest pełna. Żołnierz oło- wiany ma u niego swoje miłosne historie, kape- lusz awantury, naparstek troski i zgryzoty. On te wszystkie przedmioty ożywił, ukochał, wlał w nie swego ducha i każe im opowiadać swojemi słowami, nie wychodząc z dzieciennego tonu, a mimo to wyrażając wszystkie uczucia i głębokie zapatrywania. Podczas gdy w „Pasterzu świń“ i „Księżniczce groszkowej“ jest tylko genialnym bajarzem, w wzruszającej socjalnej tragedji „Dziewczynka z zapalkiem“ jest głębokim i czu- łym rzecznikiem ludzkiej niedoli, a w „Historji matki“ przedstawia bezdenną głębokość miłości macierzyńskiej, ofiarności i rezygnacji. Najwyżej stanął w gadkach „Stary dom“ i „Dzwon“ i do- szedł do takiej wyżyny, na którą rzadko który poeta wspiąć się potrafi. Wszystkie jego gadki pod względem kompozycji są tak mistrzowskie, że bezwątpienia on tylko może jeden potrafił dorównać autorowi tego rodzaju poematów — lu- dowi. To też imię jego na zawsze pozostanie świetną gwiazdą w poetycznej literaturze euro- pejskiej.

Listy z Niemiec.

Berlin 5. Sierpnia 1875.

Ciepło zdolne jest uśmierzyć i uspić nawet filo- zoficzne i wojownicze instynkta Niemców. Obecnie cicho i od strony arsenałów i od strony uniwersyte- tów. Achilles na trawie — w Varzinie; jego zastępy leżą, czekając gwizdnięcia. Jakim politycznym skan- dalem bohater ogłosi swój powrót do państwowego rudla, nie wiadomo; że jednak coś w Varzinie wysie- dzi — to pewna. Co najmniej podpali z innej jakiej strony strasznie przygasła „Culturkampf“. Radykały bowiem zaczynają się już całować z umiarkowanymi, korzystając zapewne z nieobecności przy nich „pana“. Co to będzie, gdy ów pan do Berlina przyjedzie i o wszystkim się dowie! Nigdy na to się nie zgo- dzi, ażeby „Culturkampf“ (co znaczy według niemie- ckiego słownictwa sadzanie do kozy i siedzenie w kozie) ustała. Nie potrzeba go bowiem znać oso- biście, ażeby spostrzedz, jak namiętnie lubi awantury. Bjografowie „żelaznego męża“ — a jest ich nie- wątpliwie tyle w Niemczech, ile żebraków — opo- wiadając, jak ich bohater „dzieckiem w kolebce hy- drom lby urywał“ przytaczają, obok wzniosłego mę- stwa w szczeci niesłownego szewca psami, i ten po- nad wszystkiemi swą chwałą górujący wypadek, że ów „mąż żelazny“ będąc studentem i usłyszawszy raz w kasynie jakiegoś republikanina, odzywającego się przeciw Hohenzollerom, zbliżył się doń i kazał mu nieprzyjazne słowa odwołać a gdy tamten się wzbraniał, przyszły kanclerz rozbił kufel na jego głowie. Ten wypadek istotnie charakteryzuje nowo- czesnego Achillesa. I on, który w młodości rozbił kufel na głowach przeciwników dynastji, miałby po- zwolić na dalsze uściski nacjonal-liberałów z klery- kałami! Co za myśl! Nie należy przytem zapominać że książkę Bismark mimo swego roznerwowania lubi wrażenia. Polityczne partje w starciu są dla niego walką rzymskich gladiatorów lub hiszpańskich byków. Jestże możliwem, ażeby wtedy, gdy Cezar łaknie widoku ciekawej potyczki, gladiatorzy podali sobie ręce a byki się polizały? Jeśli chcą odpocząć, niech go

rozerwą walką kogutów lub przepiórek, aby tylko bitwą... Nie zrobią tego — to on potrafi wzajemnie ich na siebie rzucić. Wspomniałem właśnie, że Niem- ców czeka jakiś polityczny skandal, bo obecna cisza jest niedobrą wróżbą i może bardzo łatwo przynieść burzę od strony Varzina. Jowisz bowiem niezawo- dnie tam kuje piorunu — ciekawa rzecz, czy tylko infuły biskupie będą grać rolę magnetycznych kon- duktorów....

Tymczasem dzieje wzniosłej „Culturkampf“ do- czekały się bardzo umiejętnych historjografów. Nie- zależnie bowiem gazety zaczęły systematycznie w for- mie „kalendarza“ zapisywać nazwiska wszystkich rannych, poległych i pojmanych w owej cywilizacyj- nej kampanji. Jest to bardzo dowcipny i rzeczywiście bardzo pouczający wynalazek. Łatwo bowiem prze- konać się można, jak wygląda faktycznie niemiecka wolność i że w swobodnej Giermanji tak bezpiecznie można mierzyć grzbiety knutem, jak w Konstantyno- polu lub Yeddo. Gdzie w ciągu pierwszych kilku miesięcy bieżącego roku cyfra kar za wykroczenia polityczne doszła, licząc ogółem 55 lat*) 11 miesięcy i 6 dni, a w pieniądzech — do 27843 marek i 75 fenigów, gdzie skazano w ciągu tych kilkunastu ty- godni 241 księży, 210 obywateli, 136 redaktorów, gdzie miało miejsce 30 konfiskat, 35 aresztowań, 74 rewizji, 103 wydaleń, gdzie sam Bismark wytoczył 58 procesów i tylko jedną skargę cofnął — tam des- potyzm swobodę uwiódł. Och, ślepa Giermanjo, na- kryj że przynajmniej prawdę tą zasloną, którą cnota bezwstydnie z siebie zrzuciła: niechże pierwsza z tych bogiń nie mówi światu o upadku drugiej. Przyznać jednak trzeba, że Niemiec umie heroicznie się godzić i ze swoim losem i z powyższemi cyframi. Z za- krat kozy powiada że wolny i urąga ujarzmionym.... Polakom. Dzieje socjalno-politycznej martyrologji w Niemczech, spisowane we wspomnianym kalendarzu, opowiadają wewnętrzny postęp „cywilizacji“ nawet rzewnym sposobem. Tak n. p. biedny czeladnik dru- karski odpokutował kilkoma miesiącami więzienia swój krytyczny pogląd na postępowanie Bismarka — mimo nietrzeźwego stanu, w jakim sobie tej krytyki po- zwolił. Tam znowu w innym miejscu jakiegoś starca. ojca siedmiorga dzieci, ukarano ciężko za taką samą „zbrodnię“. Wesół żyć w takiej „wolności“ — nie prawda?! Wspomniałem, że Niemiec się z nią godzi. Rzeczywiście, w jego naturze dadzą się odszukać pokrewne niewoli upodobania. Hobbesa, Anglika, za- apologje despotyzmu do dziś dnia krytyka niemiecka jak straszdyło w historii pokazuje. A jednakże zadna literatura nie wydała w filozofji tylu despotów, co- niemiecka. Kant, Fichte, Hegel, Haller, Fr. Schlegel, i t. d., wszystko to są extra-soldaci w swych socjal- nych i etycznych przepisach. Kant dawał monarchom tylko prawa a nie obowiązki, Fichte radził tępić wszystko, co w państwowe kadry nie wchodziło.... po co dalej wylizywać, sam patron niemiecki, odkupiciel ich myśli, przedmiot podziwu historii, Marcin Luter, żądał, ażeby wszystkie książki niezgodne z Biblią poniszczyć. Ten nerw absolutyzmu odkryć się da- bardzo łatwo we wszystkich organach niemieckiego życia, cóż dziwnego, że się objawia w głównem swo- jem siedlisku, w głowie obecnych Niemiec — w ich kanclerzu! Nie przeszkadzajmy mu jednak spoczywać w Varzinie, on za to nas wkrótce jaką awanturką rozerwie. (C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— „Pedagogika“ przez Augusta Jeskego; Warszawa — 1875.

Jest to nowy tom systematycznego kursu nauki, o którym obszernie pisaliśmy już kilka razy na tem- miejscu. Niniejsza „Pedagogika“ obejmuje zasady i me- tody moralnego, fizycznego i naukowego wychowania- dziatek, ze szczególnem uwzględnieniem potrzeb wycho- wania domowego. Piękne to dziełko polecamy przede- wszystkim rodzicom, i nauczycielom, zajmującym się wychowaniem najmłodszego pokolenia. Warszawa przy- jąła „Pedagogikę“ jak najprzychylniej. O ileśmy słyszeli, nakład pierwszego wydania jest już na schyłku.

*) Cyfry czerpie z „Frankfurter-Zeitung“ która naj- staranniej ów „Kalender“ prowadzi.

— „Przygody panów Marka i Agapita, podczas wystawy rolniczej w Warszawie“, opisał Jordan; Warszawa — 1875.

Słabsza to znacznie rzecz od „Wędrówek delegata“ napisanych przez tego samego autora, co nas przekonywa że humor nie zawsze słucha jego rozkazów. Mimo to książkę można przeczytać z pewną przyjemnością. „Przygody“ wychodziły przedtem w warszawskim „Tygodniku ilustrowanym“.

— „Morituri“ powieść J. I. Kraszewskiego; Warszawa — 1875.

— „Roboty i prace“ sceny i charaktery współczesne przez J. I. Kraszewskiego; Warszawa—1875.

— „Obraz świata roślinnego“ młodemu wiekowi ofiarowany, przez autorkę wieczorów czwartkowych; Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa—1875.

Jest to botanika napisana bardzo przystępnie i bardzo poprawnie; a ozdobiona licznymi ilustracjami. Wydanie piękne.

— „Zimnica“, studjum ze stanowiska praktycznego, przez Dr. T. Chałubińskiego, — Warszawa u Gebethnera i Wolffa — 1875.

Praca powyższa stanowi II tom lekarskich pism, Dr. T. Chałubińskiego, który był profesorem kliniki terapeutycznej w Warszawie. Rzecz cała napisana bardzo przystępnie i jasno. Nie lekarz może z niej także nie mało skorzystać.

— „Chów trzody chlewnej“, przez Wilhelma Baumeistera, Warszawa — 1875.

Książka powyższa, przetłumaczona z czwartego wydania niemieckiego przez Roberta Brühla, a wydana nakładem Spółki wydawniczej księgarzy warszawskich, jest dopełnieniem tych licznych dzieł, gospodarstwu poświęconych, o których niejednokrotnie wspominaliśmy na tem miejscu. Kto uważnie odczyta to dziełko, ten zrozumie, w jaki właściwie sposób należy się zajmować tą gałęzią gospodarstwa, która u nas może być bardzo korzystną, byle nią tylko umiejętnie kierowano.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura sztuka i nauka.

— W berlińskim „Residenztheater“ przedstawiono 18. lipca trzy-aktową komedję znanego twórcy popularno-naukowych romansów, Jul. Verne'a p. t. „Les deux Frontignac.“ Ma ona wiele podobieństwa do nowoczesnych francuskich obyczajowych romansów, ale werwa dialogu i świetny humor zapewniają jej wszędzie sceniczne powodzenie.

— Księgarnia Alfonsa Dürra w Lipsku przygotowuje zbytkowne jubileuszowe wydanie wszystkich poezyj Michała Anioła. w tekście podług Guastiego, z przekładem obok niemieckim, Zofji Hasenclever. Wydanie mieć będzie zupełnie charakter książek XVI. wieku.

— W londyńskim licealnym teatrze odbyło się 29. czerwca 200te przedstawienie szekspirowskiego „Hamleta“ w przeciągu nie całych ośmiu miesięcy; wypadek w historii dramatu angielskiego niesłychany. Sławnego wykonawcę roli tytułowej, Henryka Irvinga, publiczność obsypała podarkami i oznakami czci.

— Sławnego romansu Manzoni „Narzeczeni“ pojawiło się dotąd 118 wydań włoskich; z tych 37 w Medjolanie, 20 w Paryżu, 18 we Florencji, 11 w Neapolu, po 1 w Wiedniu, Rzymie, Londynie, Brukseli itd. Z przekładów jego wiadomo o 17 niemieckich, 19 francuskich, 10 angielskich, 3 hiszpańskich, jednym węgierskim, rosyjskim, greckim i holenderskim. Ormiański przekład znajduje się właśnie pod prasą — tylko polskiego ani jednego nie ma!...

✕ Stowarzyszenie francuskich i angielskich malarzy, na którego czele stoją: Alma Tadema, Legros, Calderon, Marks i inni, urządza wielką wystawę obrazów w Londynie na korzyść dotkniętych powodzią mieszkańców południowej Francji.

✕ Włoski minister oświaty Bonghi, ze względu na znaczne zmniejszenie się ruchu artystycznego w Rzymie, wezwał miejscowy komitet sztuk pięknych do urządzenia tamże nieustającej wystawy obrazów.

— Verdi przyrzekł cesarzowi austriackiemu napisać w przeciągu bieżącego roku wielkie dzieło muzyczne dla wiedeńskiej opery nadwornej.

— O kongresie geograficznym w Paryżu, piszą do „Dziennika Poznańskiego“ między innemi: „Na

wystawie prym trzyma oczywiście Francja. Karty hypsometryczne i hydrograficzne, karty przeciętnej wysokości, etnograficzne, komunikacyjne, wszystkie wyborne. Nauka geografji, jako nauka stoi we Francji wyżej, niż w innych krajach z wyjątkiem Anglii; tacy uczeni jak Delesse, Quatrefages, Duxyvier, Vivien de St. Martin nie ustępują w niczem najznakomitszym uczonym angielskim i niemieckim, a świeżo ogłoszona Géographie universelle Elizeusza Réclusa jest bez wątpienia najznakomitszym dziełem tego rodzaju na świecie. A propos p. Elizeusza Réclusa, najznakomitszy ten geograf francuski nie jest obecny na kongresie, na wygnaniu w Szwajcarii pokutuje za to, że przyjął urząd w czasie komuny, a nawet wziął karabin na ramię. Było to zbrodnią, ale—jeżeli dla książąt krwi istnieją prawa wyjątkowe, to z większą słusnością jeszcze powinny być zastosowane do takich prawdziwie z Bożej łaski książąt myśli i nauki. Równie doskonale są karty krajów afrykańskich, w których powiewa sztandar francuski. Mianowicie interesującą jest karta południowego Algieru i tunetańskiego kraju, kędy mają zostać wprowadzone do pustyni algierskich wody morza Śródziemnego. Obok Francji najzaszczytniejsze miejsce na wystawie zajmują Rosja, Austria i Szwecja. Austrii karty hypsometryczne gór, Szwecji meteorologiczne i hydrograficzne, jak i instrumenta służące do odpowiednich rozmiarów są wyborne. Rosjanie widocznie przysłali, co mieli pod duszą, ministerja swe karty generalnego sztabu aż do wypracowań szkolnych uczniów szkół wojskowych. Wszystkie najdrobniejsze państwa i narody są reprezentowane na wystawie, tylko my poszliśmy na odstawkę; o Polsce ani słyhać. Towarzystwo literackie paryskie, posiadające w swoich zbiorach bogaty zbiór kart historycznych czasów dawnych, prace wiekopomne i europejskiego znaczenia Lelewela, mogło w grupie historycznej umieścić te dzieła pracy i nauki polskiej i odezwać się jednym dźwiękiem w tym koncercie narodów. Zaniedbanie tego jest prawdziwie przestępstwem wobec narodu. Tylko Rosjanie przypomnieli nas światu. Wystawili mapę Królestwa kongresowego sporządzoną przez sztab generalny w r. 1839 i pisaną po polsku, a co więcej, dwie karty Infant w rękopiśmie, zrobione z rozkazu Stefana Batorego z napisem: „Situs et ambitus Livoniae ac provinciarum ad flumen Duna sitarum a tirannide Moschi et metu tirannidis liberatarum auspiciis virtute et perseverantia Stephani I. Regis Poloniae.“ Otóż spolia opima zdobyte na Polsce, które podobnie jak zbroje polskie na wystawie wiedeńskiej zdobią dzisiaj wystawę naszych wschodnich sąsiadów.

✕ Przy rozpoczęciu trwających jeszcze obecnie robót budowniczych w pałacu radziwiłłowskim w Berlinie odkryto na strychu między starymi sprzętami wielką ilość starych portretów rodzinnych, pomiędzy którymi znajdują się dwa obrazy, uznane przez znawców jako autentyczne dzieła Van Dycka. Wszystkie te obrazy odesłano do Poznania.

— Tegoroczne powszechne zebranie niemieckiego Towarzystwa geologicznego odbędzie się w Monachjum w dniu 12, 13 i 14 Sierpnia rb. a poprzedza je zjazd antropologów niemieckich.

— W Gracu odbędzie się w roku bieżącym w czasie od 18. do 24. września, zjazd przyrodników i archeologów, połączony z wystawą zabytków przedhistorycznych. Dowiadujemy się, że proszono dyrektora gabinetu archeologicznego Uniw. jagiell. aby cenniejszymi okazami swego zbioru wystawę ową zбоżać zechciała.

— 29. bm. odbędzie się w Palermo kongres meteorologiczny. Włoski minister oświaty p. Bonghi zaważwał wielu najuczeńszych meteorologów do udziału w naradach, a szczególnie do zastanowienia się nad reorganizacją meteorologicznych obserwatorów w kraju.

— Gmina miasta Paryża zamierza filozofowi Diderotowi na placu przed szkołą Sztuk i rzemiosł wystawić pomnik.

Podróże i odkrycia.

— Niemiecka wielka wyprawa na wybrzeża Loango pod przewodnictwem dr. Pawła Güssfeldta, zrobiła „durch Gottes Fügung“ oplakane fiasko. Po dwóch latach płonnej podróży wraca we Wrześniu

z niczem do Berlina. „Wielki naród“ ma ztąd widocznie bardzo długi nos i tłumaczy się niepodobieństwem dostania wewnątrz tej krainy, niby z powodu panującej tam obecnie wojny. Stacje obserwacyjną Chinxoxo opuszczają niefortunni badacze i oczekują na dalsze rozporządzenie ich siłami. W skutek tego dwie pomocnicze wyprawy dr. Lenza de Ogoway i Majora v. Homeyera nie ruszą się także z miejsca. Obawiamy się, czy równie smutny los nie spotka dr. Richarda v. Drasche, który wyruszył obecnie w celach naukowych a mianowicie geologicznych do Kamczatki. W powrotnej drodze obiecuje sobie ten uczony zatrzymać się w Bourbon, Cejlon, Manili, w Japonji i Hongkong dla zbadania i tamtejszych okolic.

— Odkryte w Ried przy Schussenrid w Niemczech budowle palowe, obecnie na koszt rządowy będą systematycznie wykopane i w odpowiednim miejscu dla wygodniejszego oglądu wystawione. Budowle te są bardzo ciekawe, można jeszcze bowiem poznać w nich zarysy pojedynczych domków i ich rozkład. Podłogi, ułożone z silnych, na krzyż kładzionych belek, i z pokładu delikatnej, nieprzenikliwej gliny garncarskiej — wyborne się zachowały. Na belki użyto jodeł, gruszek, sosen, jesionów i orzechów. Dotychczas znaleziono w tem samem miejscu kości jelenie, łosia, wołowe, psa i kilku większych zwierząt drapieżnych, po największej części obrobione na narzędzia. Oprócz tego broń z epoki kamiennej najróżnorodniejszych kształtów i naczynia gliniane z ornamentyką.

— Gerhard Rohlf, znany podróżnik afrykański, wydał obecnie u Th. Fischera w Kassel pierwszą część sprawozdania z podróży swojej pt. „Wyprawa dla zbadania pustyni Libijskiej“ z dopełnieniami P. Aschersona, W. Jordana i K. Zittela. Dzieło to wychodzi zeszytami z mnóstwem wybornych ilustracji.

— Pierwsza wyprawa niemiecko-abissyńskiego stowarzyszenia, o którym wspominaliśmy w numerze poprzednim, wyruszy 15. bm. z Berlina a 1. września z Tryjestu. Ze wszystkich części Niemiec ślą dla niej bezustanku zapomogi. Towarzystwo wybrało sobie za bankiera Bank niemiecki, mający dobre zamorskie stosunki. Fundusz jednak, jaki posiada wyprawa, ograniczony, bo tylko czynni uczestnicy obowiązani są do opłaty.

Wojkowość.

— W strzelnicy Krupa przy Dülman próbowano 30 1/2 centymetrowej broni na 200 metrów odległości. Tarcza pancerna miała grubości 16 cali żelaza i 16 cali drzewa. Waga broni wynosiła 6 3/4 centnarów — a ładunek 130 funt. Strzał przeszył tarczę na wskrós.

— W Kronstadiu rząd rosyjski zbudował nowy fort, składający się z siedmiu wież, pokrytych bardzo grubą blachą żelazną. Każda z wież, uzbrojona działem najpierwszej wielkości, może być na wszystkie strony obracana za pomocą odpowiedniego przyrządu, który porusza osobna maszyna parowa.

— W bm. jeszcze odbędą się wielkie ćwiczenia oficerów odkomenderowanych do wielkiego gen. sztabu pruskiego. Na ten raz sceną tych ćwiczeń będzie Hanowerskie, a udział w nich weźmie około 40 oficerów. Takie same ćwiczenia oficerów należących do sztabu generalnego trzeciego korpusu w tych dniach właśnie się skończyły, a odbywały się w okolicach Frankfurtu nad Odrą.

Nekrologja.

— Jan Chrystjan Andersen, sławny poeta duński, zmarł w Kopenhadze d. 4. bm. przeżywszy lat 70. Dzieła jego: gadki, poezje, powieści i podróże obejmują 46 tomów. Większa ich część została już przetłumaczona na obce języki.

ROZMAITOŚCI.

— Niebiańskie cesarstwo Chin, zamieszkane przez czwartą część prawie ludzkości, od długiego już czasu stało dla Europejczyków otworem; wciąż jednak jeszcze nie wiele o niem wiemy. Całe lata prowadzą w niem handel i wędrują po niem Anglicy, Niemcy, Amerykanie

itd., i przebywają w stołecznych i portowych jego miastach, dopiero jednak w najnowszych czasach pozyskali możność dotarcia do środka kraju i dlatego prawie nieznane nam są tajemnice chińskiego języka, oraz osobliwych obyczajów i zwyczajów tej ziemi. Wreszcie jednak coś bliższego doszło do nas. Pewien kupiec, który miał stosunki z zamożnymi rodzinami chińskimi w Pekinie, pił i jadł z nimi, opisuje nam prawdziwy obiad chiński w dostatnim domu — co za nim dosłownie powtórzymy. I tak, porządnym, prawdziwie chiński obiad, jest to bardzo metodyczna i ściśle formami ograniczona sprawa, szczególnie co do porządku w usadowieniu gości, następstwa potraw i innych podobnie ważnych rzeczy. Chińczycy nie jadają wspólnie z damami. Te są wyjęte. Widzimy tedy członków rodziny i gości, jedynie tylko płci męskiej, zasiadających do czworokątnego, czteronożnego stołu, wedle porządku, każdy przed naznaczonym nakryciem. Nakrycie to składa się ze specjalnej dla każdego pary krótkich laseczek, z puharu, małego naczynia na ostre Soja (sos), dwuzębny widelca bez noża, łyżki, płytkiego talerza z czterema przedziałkami na ziarna melonowe, migdały itd. i wreszcie na małej kupki cienutkiego jedwabnego papieru, do oczyszczenia tych wszystkich przedmiotów ku nowemu użyciu. Na środku stołu stoi 16 małych półmisek w czterech rzędach. Mieszczą one w sobie cztery gatunki świeżych, cztery suszonych i cztery smażonych w cukrze owoców, oraz cztery rodzaje przystawek takich jak jaja i przyprawy do nich, plasterki słoniny lub szynki, rodzaj sardynków, kwaszoną kapustę lub inne ziele. Zaczyna się uczta zamiat zupy, od wina, które gospodarz każdemu z gości własnoręcznie nalewa w małe porcelanowe naczynie. Podczas tej operacji obsługiwany musi z pokłonem rękę trzymać przy tem naczyniu. Skoro nalano dla wszystkich, gospodarz daje znak do picia. Grzeczność wymaga, aby wychylić swoją porcję, aż do kropelki na paznokciu. Na dowód zaś, że się tak stało, po wypiciu puhar do góry dnem się przewraca. Ponieważ jednak większa część Chińczyków nie znoś zdrowo wina a puhary w czasie obiadu próżnować nie mogą, roztropni więc ludzie przyprowadzają ze sobą t. z. „śpiewaków“, młodych chłopców z teatrów, jako zastępców. Ci muszą za małym wynagrodzeniem spać się i to pod srogim rygiorem, za każdy bowiem niepełny lub niespełniony puhar płacić karę. Wspomniane powyżej 16 półmisek pozostaje przez cały obiad na stole, tak, że wśród coraz nowych dań, z rozstawionych przekąsek wciąż potrosze kosztować można. Wreszcie przychodzi kolej na same potrawy. Składają się one, wedle możności i woli gospodarza z ośmiu wielkich i tyluż małych, albo z sześciu wielkich i sześciu małych, ośmiu wielkich a czterech małych, lub wreszcie z sześciu wielkich a czterech małych dań. Inne stosunki liczbowe byłyby przeciw obyczajowi i zwyczajowi. Każdą potrawę wnoszą w wielkiej wazie, — i z niej nabiera sobie gość, wedle apetytu i chęci, pałeczkami lub łyżką. Ta ostatnia jest nowatorstwem. Prawdziwi, konserwatywni Chińczycy używają zawsze zamiast łyżki pałeczek swoich, które zastępują im także nóż i widelec. Trzymają daną potrawę przed ustami i rzucają ją sobie w nie bez przerwy pałeczką. Idźmyż dalej za kolejną potrawą. Najprzód przychodzi pletwy z wilka morskiego z sosem rakowym, lub jaja smażone z grzybami, lub ślimaki morskie z podlewą z kur i słoniną. Zatem idzie pieczeń z dzikich kaczek z delikatną kapustą, lub też pieczona ryba, albo wreszcie galka wieprzowego tłuszczu w korze z maki ryżowej. Następnie pojawiają się smażone korzenie liljowe, na miazgę rozbite kurczę z szynki i smażone pączki bambusowe. Dalej smażony łupacz, w tafelki pokrajany pieczony bażant i rodzaj zupy grzybowej. Potem naraz wnoszą cztery potrawy, a mianowicie dwa rodzaje pieczonego Pudinga, jeden słodki, drugi słony i dwa rodzaje duszonego Pudinga, również takie same. Do tego dają jeszcze każdemu gościowi filiżankę herbaty migdałowej. Jako piąte danie pojawia się pieczona kaczka na słodko; szóste stanowi młoda kurczątka przygotowana w oleju; siódme zaś jakakolwiek ryba z ostrym Soja-sosem. Na ósme wreszcie i ostatnie danie wnoszą kawałki

najprzód napół odgotowanej, a następnie na słoninie usmarzonej skopowiny. Ostatnie cztery dania wnoszą już jedno po drugim i pozostawiają na stole. Wśród tego, naczynie pełne zupy i małe puharki pełne ryżu do tej zupy grają dodatkową rolę. Wspomniane powyżej owoce zjadane bywają wedle ochoty z potrawami lub pomiędzy nimi. Często także przerwy zapelnia kilka tegich pościągnięć z fajki tytoniowej lub opiumowej. Przy końcu obiadu podają coś do wypłukania ust i ręcznik zmoczony w ciepłej wodzie. Tym ostatnim wycierają sobie wszyscy twarze, często lśniące od tłuszczu. Nakoniec roznoszą kawę i fajki. Kto woli opium, dostaje galkę jego do fajki, z którą wycofuje się na łóżko do pobocznego pokoju i tam sprawia sobie tę otepiającą i idyotyzującą rozkosz, przez którą te ludy większą wyrządzają sobie szkodę, niż my, Europejczycy, przez nadmierne używanie nikotynjaceów i aż do zwierzęcości posunięte piwoszostwo. Otóż najcisłejsze opisanie co i jak Chińczycy jedzą i piją. Niejedna z tych potraw mogłaby zaiste być ozdobą stołu najwybredniejszego smakosza. Szczególniej jednak godnym jest naśladowania ciągły zapas owoców na ich stołach. Że Chińczycy od najszlachetniejszych zwierząt aż do psów, szczurów i myszy, ba, aż do świeżej i sproszkowanej szarańczy wszystko jedzą, od czego byśmy się ze wstrętem odwrócili — rzecz to powszechnie wiadoma. Nie należy tak bardzo ust na to krzywić. Głód bywa osobliwie (wymownym doradcą i doskonałym kucharzem. Doświadczyli tego Francuzi w czasie oblężenia a wybredni ludzie na miotanych burzą okrętach i łodziach w braku koniecznej żywności połykali surowe mięso myszy, jak najmiłszy przysmak. Co zaś jeść można z głodu, można nie mniej i ze zwyczajnej naturalnej potrzeby. Żołądek ma także swoje przesady które zwyciężyć należy! „Zastrzegamy się, że te ostatnie uwagi, należące do niemieckiego kupca, Prosił!

— Korespondent „Sonn und Feiertags-Courier“ z Franzensbadu, splinowato usposobiony, wyraził się najnieprzychylniej o wdziękach i toalecie dam zebranych w tych kąpielach. Otóż dotknęta tem jedna z kąpielowych piękności pisze następujący list pod adresem Redakcji „Sonn und Feiertags Courier“: — Do pana korespondenta. Franzensbad, 5 Sierpnia 1875. „Panie! W fejetonie swoim o Franzensbadzie, powiedziałeś pan nam wszystkim damom, bawiącym tu w kąpielach, wielką niegrzeczność. Mówisz pan, że nie ma tu ani jednej pięknej lub interesującej kobiety. Wprawdzie w kwestji gustu sprzeczać się trudno, zadziwiająca jest jednakże rzecz, iż w takiej mnogości dam, jedna jedyna nawet łaski w oczach twoich nie znalazła. Albo więc jesteś pan bardzo już przeżyty, albo też nie znasz się na tem, co piękne. Co zaś do innych przymiotów dam tutejszych, o tych na podstawie przelotnego spojrzenia nie masz prawa zupełnie wydawać sądu. Ja jestem tutaj dopiero od trzech tygodni a w przeciągu tych trzech tygodni odebrałam już sześć listownych oświadczeń miłości, które naturalnie byłabym odesłała mężowi mojemu do Wiednia, gdyby nie obawa rozdrażnienia go przez to i zaniepokojenia. Nie chcę ja chwalić sama siebie, ale już tak nadzwyczajnie brzydka i nieinteresująca być nie mogę, jeżeli w ciągu trzech tygodni, sześciu mężczyzn rozkochoła się we mnie śmiertelnie. Dwóch z nich nawet postanowiło sobie życie odebrać, jeżeli ich nie wysłucham. Niewątpliwie jestem uciechą kobietą i mężowi memu wierną jak złoto, bądź co bądź jednak, budzi się skrupuł sumienia na myśl powiększenia liczby samobójstw i tak już aż nadto obfitych w tych czasach. Jeden z tych sześciu wielbicieli moich pisze wyraźnie, że się we mnie rano przy źródle zakochał. Poranna więc toaleta moja nie musiała być tak „przerazającą“ jak to pan we wczorajszym fejetonie o stroju wszystkich dam tutejszych twierdziłeś. Zdajesz się pan nie wiedzieć, że rano nikt się nie pokazuje „en grande toilette“ Widocznie musisz pan być bezżennym, inaczej bowiem własna żona by cię tego nauczyła. Proszę podać mi swój adres w „Sonn und Feiertags Courier“ Pragnę bowiem posłać panu moją fotografię i tym sposobem przekonać go, że i we Franzensbadzie znajdują się znośne kobiety, a mam nadzieję, iż to

skłoni pana do odwołania publicznego owej szkaradnej potwarzy, przynajmniej odnośnie do mojej osoby.

Z oburzeniem ale i przychylnością

Fanni W.

We Franzensbadzie.

— Tak często dotychczas podawane w wątpliwość ludożerstwo u afrykańskich plemion, obecnie przez najnowszych i wiarogodnych podróżników afrykańskich stanowczo za prawdę uznaniem zostało. Zwyczaj ten w niezmiernem rozpowszechnieniu znalazł Livingstone w kraju Manjuema podczas swojego pobytu w Bambarze. Wedle jego poglądu, spożywanie podobnych do ludzi małp, zwanych „Sokos“, było pierwszym krokiem do kannibalizmu. Livingstone wymienia mieszkańców Manjuemy, jako najdzikszych i najbardziej krwiożerczych ze wszystkich, których mu się poznać udało. Morderstwa są u nich na porządku dziennym; czerwone pióra ogonowe papug nosić we włosach, lub przyodziewać się skórą kota pismowego ma u nich tylko ten prawo — w dowód odznaczenia — kto przynajmniej jednego człowieka zabił. Kto da się tam zaskoczyć w pojedynkę na otwartym polu — zgubiony! Morderstwo dokonane w pobliżu Bambarzy ściągnęło mnóstwo sąsiednich mieszkańców, żądnych udziału w mięsie zabitego. Nawet z chorób umarli w wielu okolicach bywają pożerani, i jedynie tylko za pomocą bardzo ostrego zakazu udało się jednemu z naczelników, Mokusowi, przeszkodzić wygrzebywaniu trupów. Dr. Lénz, znany podróżnik, donosi z Adelina Longa, że wedle jednozgodnego opowiadania białych i czarnych kupców w Gabun, jedno z plemion M'pangwe odkupowało umarłych od sąsiadów, aby ich pożyć. Swoich własnych umarłych nie zjadają ci ludkowie, ale odprzedają ich sąsiadom; mięso białych, na szczęście, mają w pogardzie. Ten zgrozony przejmujący obyczaj, wydaje się tem bardziej zagadkowym, że nigdzie tam na śródkach pożywienia nie zbywa; przeciwnie, u Manjuemów i M'pangwe ryb, zwierzę, owoców, maisu obfitość niezmierna, tuż pod ręką. Jako o jednej jeszcze właściwości tych ludojadów wspomnieć tu należy, że zjadają oni także i żony swoje z miłości, jednakże nie bez znacznej domieszki koziego mięsa.

— Literatura niemiecka poszczycić się może oryginalną monografią. Jest to dzieło starego szwabskiego jurysty, Schicka, o policzkach: „Dissertatio de alapis“ w którym tenże klasyfikuje lożcznie zupełne i niezupełne, z klaskiem i bez klasku, żartobliwe i na serio, nagradzające(?) i karzące policzki. Oprócz tego znajdujemy tam postawione nader delikatne kwestje i rozbiór ich wyczerpujący. I tak np.: Czy ręką bez palców może dać policzek? Czy może ojciec syna jeszcze po dwunastym roku spoliczkować, bez odpowiedzialności — a mąż żonę, bez dania racji do rozwodu? Czy można się do brania policzków kontraktowo zobowiązać? Ale najbardziej zawiłą jest kwestja: Czy dozwolonym być może, gdy prześwietny sędzia, lub sławetny wójt skażą za policzek komuś dany na 10 tal. kary, dołożyć jeszcze raz tyle i im samym podobny zaaplikować? Z wielką elokwencją odpowiada stary jurysta na to pytanie... potwierdzająco!

— Nadzwyczajnego dowodu na to, jak daleko siły umysłu ludzkiego a szczególnie pamięci sięgnąć mogą, dostarczył niejaki Pater Sachieri (+1729) w Turynie. Przeczytawszy z uwagą gazetę, mógł dosłownie jej brzmienie od dołu do góry i od góry do dołu powtórzyć. Każdekanie, byleby nie trwało dłużej nad kwadrans, zdolny był bez zająknięcia się, temi samemi słowy i w tym samym porządku wypowiedzieć na nowo. Potrafił z trzema różnemi osobami jednocześnie grać w szachy, bez patrzenia na którąkolwiek z szachownic. Żądał tylko, aby pełnomocnik jego oznajmiał, jaką figurę przeciwna strona posunęła a wówczas dawał polecenie posunięcia ze swojej strony, bawiąc się przytem rozmową ze świadkami. Jeżeli zaś zaszła jaka wątpliwość co do położenia figur, to był w stanie wymienić wszystkie poruszenia swoje i przeciwnika od początku gry — i tym sposobem w każdej z trzech partyj sporne rzeczy rozstrzygał.

Treść Nr. 33.

O potrzebie zjazdu dziennikarzy galicyjskich.; Trucizna powieść Pauliny z L. Wilkońskiej (c. d.); *Stulja o sztuce w Polsce*; Malarze krakowscy, lwowscy i inni przez Józefa Rogosza (dok.); *Ostatni z Romanowych*, oryginalne pamiętniki z czasów carycy Katarzyny II. (c. d.); *Z dziedziny nauk przyrodniczych*: Najstarsze ślady istnienia człowieka w Europie; *Tajemnicza wyspa*, przez Juliusza Verne (c. d.); *Uczony poemat* B. Czerwieskiego; *Idealisci* powieść Jana Lama; *Ismailia*, podróż S. W. Bakera w głąb Afryki; *Pogadanka* Jana Lama; *Rzecz w przyrodzie i w dziejach*, przez Ludwika Wierzejskiego; *O stanowisku filozofji* Dr. Karola Libella przez Dr. A. Molickiego (dok.); *Jan Chrystjan Andersen*; *Listy z Niemiec*; *Bibliografia*; *Wiadomości ze świata*; *Rozmaitości*.